

Kamena

NR 23 (869)

16 listopada 1986

Cena 15 zł

Bać się szatana?

O SZATANIE bądź diable, zwanym także „czartem” „księciem tego świata” lub „złym” po Soborze Watykańskim II (1962—1965) mówiło się w Kościele katolickim raczej niewiele i jakby z zażenowaniem. Nie dziwiło to zbytnio, jako że Kościół w trakcie Soboru proklamował program *aggiornamento*, a więc program przystosowania Kościoła do wymogów współczesnego świata, a temu średniowieczne wizje satanizmu do niczego nie były potrzebne. Ludzkość po prostu sprawę diabolizmu traktowała jako najzwyklejszą fikcję.

Zmiana orientacji

Obecnie obserwujemy zjawisko wręcz odwrotne. Dostojnicy Kościoła — że powołam się na kard.

J. Ratzingera — podjęli wysiłek „rewaloryzacji” szatana, wskazując na jego rzekomą obecność w naszym życiu. Wypowiedzi tego rodzaju największe agencje informacyjne traktują jako „rewelacyjne” i zamieszczają we wszystkich niemal serwisach. Również w Polsce szatanowi poświęca się ostatnio sporo uwagi, nie traktując wprawdzie tej problematyki jako „sensacji”, lecz przeważnie szukając argumentacji, która by uzasadniała wypowiedzi watykańskie.

Przykładowo: ks. dr Jerzy Banak na łamach warszawskiego „Przeglądu Katolickiego” uzasadniał, że „nie da się naszej współczesnej kondycji wyjaśnić bez ingerencji Antychrysta”, a z kolei ks. J. Tarnowski w „Gościu Niedzielnym” twierdzi, że „metody kuszenia, stosowane przez szatana, podlegają prze-

Zbigniew Stachowski

mianom, stają się bardziej nowoczesne”.

W związku z tym zasadna chyba będzie próba odpowiedzi na — było nie było — fundamentalne pytanie: jak naprawdę przedstawiają się te diabelskie sprawy?

Co mówią autorytety?

Trudność podstawowa, jaka jawi się nam w obszarze tej „czartowskiej” problematyki (zresztą nie jedyna), wiąże się z teoretycznym uzasadnieniem istnienia złego i przeciwnego szatana w świecie stworzonym przez miłosiernego Boga. Dają tu o sobie znać konsekwencje wynikające z przyjęcia przez chrześcijaństwo, z innych wierzeń, Boga Zła.

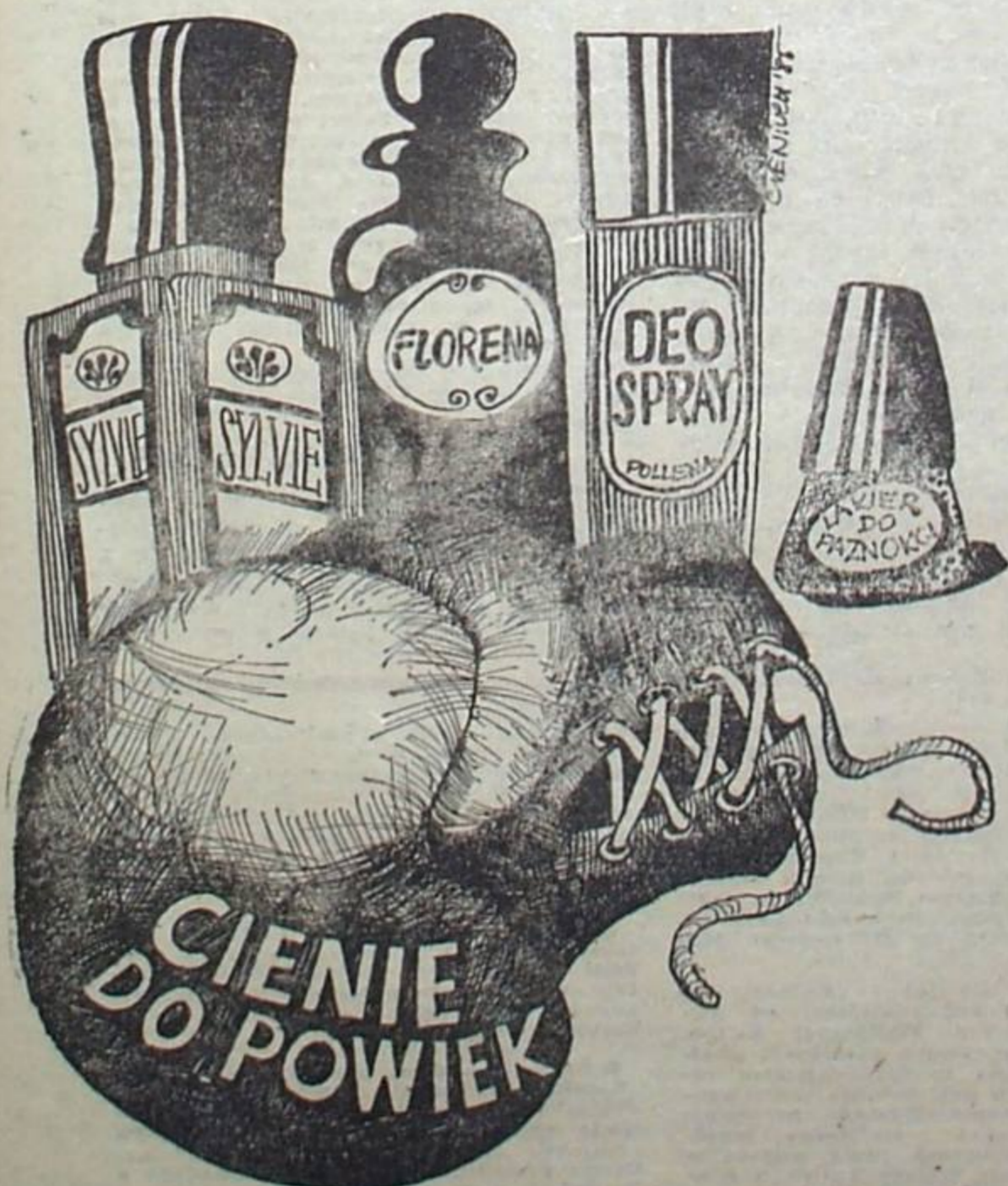
Dokończenie na str. 10—11

Jan St. Stefaniak**KARIERA**

*Nigdy nie złapałem wróbla,
natomiast dysponowałem znajomymi
z wyższych sfer —
gołębiami
na cudzych dachach.
Ułaskawiłem i wypuściłem na wolność
więzienną w sercu miłość
(odsiedziała za swoje sporo lat).
Już mnie stać na wspaniałomyślność.*

*Wobec świata
wyglądającego na faceta
trzępiętego pustym workiem
zachowuję stosowny dystans:
Nigdy nie wiadomo
co takiemu odbije
by mi znowu
przyłożyć.
Ze zrozumieniem także
podchodzę do dogmatów —
nawet Bogu
trafi się fuzzerka.*

*Ale obiecuję sobie —
kiedy przejdę na emeryturę,
to dopiero pożyję,
wystając w kolejkach
po przepustki
do wieczności:
Tam wreszcie zamkną mi gębę na klóike.*



Rys. Zbigniew Cienluch

Reklamy nie mamy! str. 7**JESIEŃ**

Wiesław Horabik

JAZDA stąd! — w czyste powietrze wybuchł nagle gniewnym jazgotem starczy glos. Kiedy rząd rozbujanych nad miarę krzewów odsłonił mi widok na alejkę, stary, przygarbiony mężczyzna opuszczał już wznieśloną do góry łaskę, a młody chłopak z dziewczyną oddalali się pospiesznie od pustej, osiedlowej ławki.

— Stary wariat — mruknął chłopak, gdy mnie mijali. Sądząc po pasji w jego głosie, tylko ze względu na partnerkę nie użył bardziej dosadnego epitetu.

— Dlaczego ich pan przepędził? — pytam starogo.

— Bo to moja ławka.

— Pana?

— Tak.

— A przysiąść się można?

— Niech pan siada. Jednego człowieka mogę zawsze przyjąć.

— Od kiedy to pana własność?

— Od dwóch lat, zawsze, kiedy jest ciepło. Do domu wracam o piątej. Ale nie cały czas tutaj siedzę — zastrzega się. — Tylko nare godzin.

— Nie może pan wracać wcześniej?

— Nie. Synowa boi się, żebym nie

odkryć gazu albo nie zalał mieszkania. Dlatego dyżuruje: tu albo gdzie indziej.

— Czemu nie szuka pan pomocy?

— Zeby mnie wsadzili do domu starców?! Póki życia, póty każdy powinien mieć swój własny ką.

— I co pan widzi z tej swojej ławki?

— O, bardzo wiele. Wczoraj widziałem na przykład bitwę ptaków.

— Jest tu niedaleko dzienny dom rencisty...

— To dla „normalnych”. Ja jestem samotnikiem.

— Starość to wstydlivy temat — mówi mi kierowniczka dziennego domu rencisty na Kalinowszczyźnie, pani Halina Kiszczak. — Mówi się o „złotej jesieni”, czy ja wiem... Młodzi ludzie, zaganiani za sprawami codziennego bytowania, mają mało czasu, więzi rodzinne ulegają zachwianiu, a i starzy ludzie stali się teraz zachłanni. Niegdyś młodość i starość współistniały w rodzinie, choć i dawniej różnie bywało. Takie domy pomocy to także produkt naszej cywilizacji.

Dokończenie na str. 10

z notatnika

4 XI. Mniejsze miasta też przejawiają inicjatywy wydawnicze. Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Świebodzińskiej (Świebodziński Dom Kultury im. Janka Krasickiego wydały siódmy już numer „Zeszytów Świebodzińskich”. Tym razem jest to wybór wierszy satyrycznych Eligiusza Ristaua, którego utwory publikowaliśmy również w „Kamieniu”. W sumie zbiorok zawiera jedenaście wierszy i szesnaście frazesów (np.: „Ilekróć wchodzę na piedestał, tylekróć słyszę: pan tu nie stał”). Objętość zbioru: mizerna — 24 strony, nakład też mały — 500 egzemplarzy, a więc biały krak z Świebodzińska i pewna satysfakcja dla autora.

Przy okazji zachęcam, zwłaszcza współpracowników „Kamienia”, do wzięcia udziału w konkursie na rysunek satyryczny pt. „Książka” organizowanym przez KMPIK w Zielonej Górze (ul. Westerplatte 19) i Lubuski Komitet Opowieszczenia Prasy. Ostateczny termin nadsyłania prac: 15 grudnia. Pierwsza nagroda — 50 tysięcy zł, a są i dalsze, więc warto się pokusić. Maksymalnie można nadesłać pięć rysunków o dowolnym formacie i wykonanych dowolną techniką.

Ziemia Lubuska nie ma chyba tylu satyryków, co Lubelszczyzna w dawnych granicach, a jednak zdobywa się (i to już po raz drugi!) na tego typu konkursy. Czyżbyśmy, my — mieszkańcy ziem wschodnich, mniej doceniali ten rodzaj twórczości? A mówi się, że śmiech to zdrowie! Ale czego to się nie mówi!

5 XI. We wczorajszej „Trybunie Ludu” R. Wolak krytycznie pisał o Wydziale Spraw Lokalowych Urzędu Miejskiego w świetle kontroli dokonanej przez IRCh. „Okazało się, że np. w Lublinie [...] jest 69 mieszkań niezastudowanych, znajdujących się w dyspozycji Wydziału Spraw Lokalowych. 39 z nich jest w nowo wybudowanych blokach spółdzielczych, wykupionych przez Urząd Miasta, który obciążony jest kosztami opłat czynszowych”. IRCh domaga się m. in. zmian kadrowych w wydziale, łącznie z odwołaniem ze stanowiska kierownika. O ile wiem, to obecny kierownik krótko sprawuje tę funkcję i zastanawiam się, czy właśnie jego należy obciążyć winą za bałagan? W tym miejscu przypomnę sprawę skandalicznych warunków lokalowych, pewnej pracownicy naukowej, o czym z trybuny Wojewódzkiej Konferencji PZPR mówił ostatnio red. Tadeusz Fita. Ile lat zwodził się tę schorowaną kobietę obietnicami i to ze szczebla wyższej władzy niż kierownik Wydziału Spraw Lokalowych UM? A tu okazuje się, że stoją wolne mieszkania, że za część z nich Urząd Miasta płaci w dodatku czynsz! Pracownica naukowa szesnaście zim przeżyła w nieopalanym pokoju, w okropnych warunkach sanitarnych. Na razie otrzymuje odpisy, optymistycznych wpisów, pism urzędowych. Kolejne mrozy tuż, tuż... W pokoju bez pieca nawet optymistycznymi pismami się nie ogrzeje!

6 XI. Złowieszczą zabrzmiały słowa zastępcy sekretarza stanu USA do spraw amerykańskich, Elliota Abramsa, z których wynika, że Stany Zjednoczone widzą tylko JEDNO rozwiązanie problemów środowiskowoamerykańskich, a mianowicie poprzez interwencję zbrojną w Nikaragui.

Nie wszyscy jednak obywatele Sta-

nów Zjednoczonych zatracili poczucie zdrowego rozsądku. Ring Lardner (pisarz, którego brał polecił w Hiszpanii walcząc po stronie republiki w szeregach amerykańskiej brygady ochotniczej im. Abrahama Lincolna) stwierdza na łamach „International Herald Tribune” (z 24 października br.):

„Prezydent Reagan wyraża aprobatę dla prywatnych najemników wspomagających nikaraguańskich «contras» i porównuje ich wyczyny do walk brygady im. Lincolna podczas hiszpańskiej wojny domowej. Czynnienie analogii pomiędzy dwiema tak niepodobnymi sprawami jest afrontem wobec zdecydowanie nie najemnych amerykańskich ochotników w Hiszpanii. [...] Wojna przeciwko Republice Hiszpańskiej w latach 1936—39 była połączeniem rebelii wojskowej z zagraniczną inwazją. Demokratycznie wybrany rząd tego kraju był tym, z którym Stany Zjednoczone utrzymywały przyjazne stosunki dyplomatyczne i któremu trzy tysiące Amerykanów pospieszyły z pomocą, aby go bronić. Legalny rząd Nikaragui, uznany za taki przez Stany Zjednoczone i przez resztę świata, jest tym, którego atakują «contras» z subsydiowanych przez USA zagranicznych baz. Bardziej logicznym precedensem dla bojowników własności prezydenta Reagana byłoby dywizje wysłane do Hiszpanii przez Hitlera i Mussoliniego. Te regularne oddziały wojskowe były bezwzględnie określane przez dyktatorów jako ochotnicy walczący o zasady. [...] Działalność trzech Amerykanów zestrzelonych ostatnio nad Nikaraguią była wbrew prezydenckiemu błogosławieństwu, pogwałceniem prawa federalnego, które przewiduje karanie znowy celem naruszenia własności uznanego rządu zagranicznego oraz wysyłanie z ziemi USA wojskowej lub morskiej ekspedycji przeciwko takiemu rządowi.”

Jak widać, prawo federalne sobie, a prezydent sobie. Można i tak.

Tymczasem wtorkowe wybory do Kongresu USA, mimo iż Reagan położył na szali cały swój prestiż, przyniosły sukces partii demokratycznej, która teraz będzie miała większość zarówno w Izbie Reprezentantów jak i w Senacie. Utrudni to politykę wewnętrzną i zagraniczną obecnej administracji amerykańskiej, ale nie należy zapominać, że prezydent ma prawo weta, które może blokować wszystkie decyzje Kongresu. Reagan jeszcze przez dwa lata będzie zasiadał w Białym Domu. Czy później wprowadzi się do niego demokracja? Trudno wypowiadać się w tej sprawie, bo aczkolwiek demokraci zwyciężyli w wyborach do Kongresu, to ponieśli porażkę w wyborach na stanowiska gubernatorów poszczególnych stanów. Inna jest zresztą kampania wyborcza do Kongresu, a inna w wyborach prezydenckich, które rządzą się swoimi prawami...

7 XI. Szeszdziesiąta dziesiąta rocznica Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Tradycyjna defilada i manifestacja ludności na Placu Czerwonym w Moskwie, transmitowana częściowo przez naszą telewizję.

Na niesionych transparentach wiele hasel wzywających do walki o pokój i rozbrojenie, do realizacji uchwał XXVII Zjazdu KPZR. Np. takie: „Przebudowa sprawa wszystkich i każdego. Aktywnie umacniajmy rewolu-

cyjne przeobrażenia w gospodarce i we wszystkich sferach życia społecznego”.

W przededniu Święta — wystąpienie Michaiła Gorbaczowa na naradzie pracowników przemysłu budowy maszyn rolniczych w Moskwie. „Nie powinniśmy — podkreślił sekretarz generalny KC KPZR — zadawać się tym, że sprzętu produkujemy dużo, przy tym niektórych maszyn więcej niż cały świat. Całe nieszczęście polega na tym, że wiele z nich szybko się zużywa i psuje”. Zwracając się do konstruktorów M. Gorbaczow powiedział: „Nie czekajcie na wskazówki. Pracujcie w oparciu o przyjacielskie wzajemne zrozumienie. [...] Jakie mogą być tutaj wskazówki? Co może bardziej stymulować ministra lub robotnika, naukowca, konstruktora? Powinniście pracować sumiennie, rozumieć, o co chodzi. [...] Najważniejsze jest to, abyście nie czekali na kolejną naradę...”

Dopisuję 8 listopada. Jeszcze jeden cytuję z przemówienia sekretarza generalnego KC KPZR na przyjęciu w Kremleskim Pałacu Zjazdów: „Jakkolwiek samozadowolenie byłoby równoznaczne z początkiem nieszczęścia. Zdajemy sobie z tego sprawę. Chrońmy święte piękne tradycje, nie zapominamy i nie powinniśmy zapominać o najważniejszej wskazówce Lenina: więcej uwagi dla nie rozwiązanych problemów, jak najmniej podniosłych frazesów”.

Właśnie: jak najmniej podniosłych frazesów!!! Między Bugiem a Odrą również!

8 XI. Uczestniczyłem wczoraj w pewnej akademii zorganizowanej z okazji rocznicy Wielkiego Października. Referat (owszem, interesujący, nieszampowy), odznaczenia dla zasłużonych pracowników (nie zapomniano o emerycie — chwala!), a potem — niespodzianka: część artystyczna „kontraktowana” w lubelskiej „Estradzie”.

Dwie panie i dwóch panów. Jedna z pań śpiewała, a druga gadała, to znaczy usiłowała za pomocą słowa jakoś powiązać to, co się działo na scenie. Trud był raczej niewdzięczny, bo raz słyszeliśmy piosenkę Dunajewskiego i Milutina, a raz romanse cygańskie. Ni z gruszką, ni z pietruszką, ale dziś takie czasy, że idzie każdy towar, artysta więc też odkurza starocię. Panowie również starali się nie próżnować, jeden nawet trochę ponuczył, a drugi pograł na akordeonie. Zabrakło tylko górala, któremu nie żal. Całe szczęście, bo całość trwała krócej niż 40 minut, chociaż — jak się później dowiedziałem — uprzednio była mowa o programie półtoragodzinnym. Za tę „składankę” trzeba teraz zapłacić (czy rzeczywiście trzeba, skoro występ został o połowę skrócony?) prawie 40 tysięcy złotych, czyli tysiąc złotych za minutę (a biorąc pod uwagę obecnych na akademii — mniej więcej też tysiąc złotych na głowę). Jak z tego widać, chałtura trzyma się nad Bystrycą mocno, choć nieco dziwi, że lubelska „Estrada” (bądź co bądź organizatorka wziętych „Prezentacji”) odważyła się z takim czymś wystąpić przed ludźmi, którzy już co nieco w życiu (i w świecie) zdążyli zobaczyć. Za niemowięcych czasów śp. „Artosu”, kiedy o telewizji nikomu się jeszcze nie śniło, bardziej dbano o dobre imię instytucji i takiego zespołu nie wysłano by nawet do zabitych deskami wioski!

W tym wszystkim zdumiewa fakt, że ową panią, która za pomocą słowa usiłowała program powiązać, był nie kto inny jak... dyrektor(ka) artystyczny(lubelskiej „Estrady”, z racji stanowiska przede wszystkim zobowiąza-

ny(a) do troski o odpowiedni poziom wyst...)

Ponieważ nie sądzę, aby tylko organizatorzy wspomnianej akademii dali się wpuszczać w maliny, czuję się w obowiązku ostrzec kierownictwa domów kultury naszego regionu, a także tych wszystkich, którzy troszczą się o rozrywkę w poszczególnych zakładach pracy, aby nie kupowali kota w worku! A swoją drogą, czy nie ma żadnej komisji kwalifikacyjnej, która by program zaakceptowała przed jego pokazaniem na scenie? Chodzi tu przecież również o pieniądze, społeczne pieniądze, nie tak znów małe!

Muszę przyznać, że teraz bardziej doceniam Teatr Studyjny powstały przy Lubelskiej Agencji Koncertowej. Gościnne występy znakomych artystów scen warszawskich (Jerzego Kamasa, Henryka Talara) zapewne stanowią dla lubelskiej „Estrady” zdrową konkurencję. Przelamanie dotychczasowego monopolu na popularną rozrywkę może przynieść korzyść nam wszystkim!

9 XI. Hieronim Orzeszek w ukazującym się we Wrocławiu tygodniku „Sprawy i Ludzie” (nr 45) napisał krótko:

„Obywatelka Józefa Hennelowa w swoim felietonie na łamach „Tygodnika Powszechnego” zwróciła uwagę na następujące zdanie wypowiedziane na krakowskiej konferencji partyjnej: »Jak przeciwstawiać się klerykalizmowi?«. Felietonistka zrozumiała, że chodzi o jakiś zagrożenie. Pisze: »Przemawiając nie wyjaśnił, na czym miałyby polegać zagrożenia. I po co obywatelka Hennelowa jak udaje? Toć jeszcze Boy demaskując księdza Pirożyńskiego postawił znak równania między klerykalizmem a oglupianiem ludzi. Przed tym właśnie należałoby chronić przede wszystkim młodzież”.

Krótko, klarownie. I dlatego nie wiem, czy trzeba w pamięć z felietonistką „Tygodnika Powszechnego” wycelowywać armatę, jak to uczynił Czesław Rówiński w najpoważniejszej z „Trybun” (nr 13 117)...

10 XI. Rodacy potrafią być dowcipni. Czytam, co pisze w tygodniku „Tak i Nie” WIK o pewnym żartowniszu, który pojechał z wycieczką do Grecji: „Mój znajomy raz pił sobie dewizowe piwko, co wazdronnie obserwował wycieczkowicze. Wreszcie któryś podszedł i zarzucił mu rozrzutność, na co znajomy odpowiedział, że stać go na ten luksus, bo sprzedał krew, o czym mówi mu w wielkiej tajemnicy. Po czym pokazał niewielkie zadrapanie na zyle po wewnętrznej stronie ręki poniżej zgięcia i w tajemnicy poinformował, że zabieg jest prosty: idzie się do najbliższej apteki, wystawia na ladzie rękę, pan lub pani pobiera cwiartkę krwi, za co inkasuje się ni mniej ni więcej tylko 6 tysięcy drachm. W odpowiedzi usłyszał wyrzut za brak koleżeństwa, gdyż wcześniej nie poinformował przyjaciół i kolegów o tym jakim prostym sposobie wzbogacenia dewizowych kont. Znajomy w wyniku tej rozmowy natychmiast zaobserwował przemianę obcyżacza. Kilkaśnaś osób przestało popijać wodę z kłopotliwym na bazie przywiezionego z Jugosławii taniego spirytusu. Usłyszał też wyrzuty czyjejsi żony, która wspominała mężowi, że nie tak dawno w Polsce oddał krew i za ten szlachetny czyn przyniósł do domu tylko wyrób czekoladowy. Gorączkowe wymieniano informacje, kto i w którym miejscu widział aptekę. Już na drugi dzień w tychże pojawił się młodzi mężczyzna z podwinętymi rękawami, a żartownisza z daleka obserwował dalszy rozwój akcji. W każdym razie obity nie został, gdyż wytłumaczył, że musiała przejechać właśnie inna polska wycieczka i Grecy mieli już dość polskiej krwi...”

Zmienia się forma upiornienia polskiej krwi? W tym dowcipie jest coś głębszego!

M. A. Jaworski

PS. Chcę podziękować miłej Czytelniczce ze Szczecina za list i wido-kówkę zagraniczną (zwłaszcza za tę z Murzynką). Czynie to w „Kamieniu”, bo gdzieś mi zaginął adres i wszystkie dane pocztowe. Proszę o pomoc!

KRONIKA KULTURALNA

W Lublinie zainaugurowano Dal Filmu Radzieckiego. Podczas tegorocznych, odbywających się już po raz 50. Dni pokazanych zostanie osiem filmów premierowych. Znajdzie się wśród nich „Bitwa o Moskwę”, film o walkach o stolicę ZSRR. Do okresu wojennego i wczesnopowojennego nawiązuje film „Tango naszego dzieciństwa”. Wśród prezentacji będzie także komedia Leonida Gajdaja „Uwaga niebezpieczeństwo”. Prezentacjom filmowym towarzyszą inne imprezy, spotkania, dyskusje oraz konkursy dotyczące filmu radzieckiego zapowiadane przez „Kurier Lubelski” i „Sztandar Ludu”.

W Dworku Wincentego Pola czydana jest wystawa „Huculszczyzna” zorganizowana przez Muzeum Okręgowe w Lublinie. Ekspozycja prezentuje twórczość Wincentego Pola i Stanisława Vincenza poświęconą Huculszczyźnie, ale także w szerszej formie kulturę, obyczaje, pieśni Huculów. Oprócz ekspozycji stałych wystawa obejmuje także prezentację zespoła Huculszczyzny w formie działań. Można więc oglądać rozliczne wiatry, skosztować kukurydzy, słuchać pieśni „Dla Hucula nie ma życia, jak na poloninie...”.

W Lubelskim Domu Kultury gościli aktorzy Teatru Żydowskiego w Warszawie, zaprezentowali koncert „Liryka miłosna i radość życia w poezji żydowskiej”. Imprezę tę zaprojektował lubelski oddział Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów.

W listopadzie 1881 roku w Chomełkach pod Zamościem powstała orkiestra chórska założona przez syna właściciela tamtejszego majątku — Karola Namysłowskiego. Zespół szybko rozrósł się do pełnej orkiestry symfonicznej, odbywał podróże artystyczne zyskując sławę i popularność. Mimo rozmaitych trudności w różnych o-

kresach najej historii, orkiestra przetrwała. Ma już 105 lat i zachowuje wciąż niepowtarzalny swój charakter. Z okazji jubileuszu odbył się w Zamościu uroczysty koncert. Polska Orkiestra Wioślarska im. Karola Namysłowskiego wykonała najwybitniejsze utwory Karola i Stanisława Namysłowskich oraz muzykę ludową regionu zamojskiego. W Starym Zamościu w izbie pamięci K. Namysłowskiego odsłonięto popieliste kompozytora (w 130 rocznicę jego urodzin).

Sygnalizowaliśmy już w „Kronice” intensywną działalność istniejącej od niedawna Galerii Sceny Plastycznej KUL-u. Galeria proponuje obecnie ekspozycję „Swinarski” poświęconą najwybitniejszemu reżyserowi polskiego powojennego teatru Konradowi Swinarskiemu. Wystawa prezentuje scenografię „Dziadów”, wybitnego przedstawienia zrealizowanego przez artystę w 1973 roku na scenie Starego Teatru w Krakowie.

Na scenie Teatru im. Osterwy w Lublinie odbyła się premiera sztuki Tadeusza Różewicza „Białe małżeństwo”. Dramat ten wystawiany w Lublinie za czasów dyrekcji Kazimierza Brauna cieszył się dużym po-

wodzeniem, wynikającym podobno z ekspozycyjnej mezo kobiecej nagości. Obecne przedstawienie wyreżyserowane przez Andrzeja Rozhina, w scenografii Andrzeja Markowicza, z muzyką Andrzeja Zaryckiego także nie jest oszczędne w tej mierze. Jak „donoszą” pracownicy działu Organizacji Widowni, publiczność szturmuje kasę teatralną.

Polski Związek Chórów i Orkiestr liczy sobie już 60 lat. Z tej okazji lubelski oddział PZCHO oraz Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie przygotowały uroczysty koncert, który odbył się 5 listopada w Filharmonii lubelskiej.

Sygnalizowaliśmy niedawno na łamach „Kamienia” zaistnienie i pierwsze działania Teatru Studyjnego istniejącego w impresariacie Agencji Koncertowej w Lublinie. Po spektaklu „W zaccarowanej drodze” następną premierą tego teatru to „Ballada o Janusku” w wykonaniu Ryszarda Hania i Henryka Talara. Jest to spektakl przygotowany przed kilku laty dla warszawskiego teatru „Prezentacje” przez Romualda Sze-
da.

Lubelskie lata Edwarda Stachury (2)

Mirosław Derecki

SPOTKANIE autorskie, o przygotowaniach do którego miałem w poprzednim odcinku, odbyło się ostatecznie w jednej z sal Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Za stołem „przeżyłymi” siedzieli m.in. poeci: Henryk Pałak i Zbigniew Strzałkowski, na widowni znalazła się cała masa poetyckiej młodzieży ze Zbigniewem Zaborczakiem, Edwardem Stachurą oraz Andrzejem Tchórzewskim na czele; był chyba także Janusz Klechta, późniejszy redaktor naczelnicy „Radaru”. Cały ów miłyng odbywał się pod opieką kłuczym okiem przyjaźniacza artystycznej młodzieży studentki, niezwiązanej już dzisiaj dr. Konstancji Turowskiej, prawnika z wykształcenia, pracującego w administracji uniwersyteckiej.

Niestety, piękne i szczerze założenia wieczoru spaliły na panewce. Zamiast „swoić się” wzajemnie poezją, poszczególni młodzi poeci zarzucali sobie nawzajem plagiaty, a Tchórzewski wołał wielkim głosem, żeby nieścisłości, zamiast pisać wiersze, poszły lepiej na wieś sadzić buraki cukrowe!

W następnych miesiącach na uniwersytecie wydarzyła się jeszcze jedna historia, która dodatkowo rozszalała „złą legendę” Stachury. Otóż pewnej nocy Sted ogłosił w północy do ostatniej nitki niejakiego Rysia X., zwanego powszechnie „Filozofem”. A ten, całkowicie nie po mieście, poszedł ze skargą do prorektora Zdzisława Papierkowskiego, prosząc, aby spowodował on zwrot przegranych pieniędzy oraz zegarka. Reakcja Papierkowskiego była natychmiastowa: „Jeśli pan był taki głupi, żeby grać w karty, i jeszcze z tańcistą, który potrafi lepiej od pana, to ma pan tylko jedno wyjście: zgnębić przed następnym razem!” I tak Profesor sprawę zamknął.

Drugim wydarzeniem, nie tyle artystycznej miary, ile skandalizującej natury, był pierwszy w Lublinie

wieczór autorski Stachury.

Zorganizowano go chyba w ramach działalności kulturalnej Zrzeszenia Studentów Polskich i — jako swoiste „echo” jesiennego poetyckiego spotkania na KUL-u — odbył się on na początku 1950 r. w studenckiej kawiarni „Pławnica” na Starym Mieście. Sted był wtedy jeszcze przed swoim poetyckim debiutem na łamach „Kamery”. W srodowym numerze „Sztandaru Ludu” (z 18 lutego 1950 r.) ukazana się na ostatniej stronie (dobrze wyeksponowana, ujęta w ramkę, notatka: „Wieczór autorski Edwarda Stachury. Dnia 18.II.1950 r. o godz. 18.00 w lokalu klubu-kawiarni „Pławnica” na Starym Mieście odbędzie się wieczór autorski Edwarda Stachury. Młody poeta odczyta nie drukowane wiersze oraz fragmenty prozy poetyckiej. Klub zaprasza wszystkich chętnych do wzięcia udziału w wyżej wymienionym wieczorze”.

Podaję, że był to w ogóle pierwszy w życiu oficjalny wieczór autorski Steda. Niestety, wypadł on zupełnie odmiennie od tego, jak zapewne wyobrażali go sobie — autor, organizatorzy oraz przybyła publiczność.

Stachura jako poeta był wówczas w środowisku lubelskim właściwie zupełnie nieznany. Jedną publikacją w „Sztandarze Ludu” w listopadzie ubiegłego roku stanowiła tyle, co nic. Mało kto więc pokwapił się na imprezę, na którą trzeba było maszerować przez cały skuty mrozem i zawalony śniegiem Lublin. Na dodatek organizatorzy przedobrzyli sprawę: przewidując niewielką frekwencję, postanowili „napompować” sale, sorowadzając jakąś wycieczkę kombatanów wojennych, czy też starszych wiekiem nauczycieli, zwiedzających Stare Miasto.

Kto zna pierwsze utwory Stachury oraz jego wyjątkową drażliwość na temat własnej poezji i własnej osoby, może sobie wyobrazić jak ów wieczór wyglądał. Dopóki jeszcze Stachura czytał swoje wiersze, wszystko szło gładko. Burza wybuchła dopiero wtedy, gdy zaczęła się — przewidziana „porządkiem dziennym” — dyskusja. Dość powiedzieć, że wywody dyskutantów, przyzwyczajonych dotąd głównie do odbioru utworów Marii Konopnickiej, czy Teofila Lenartowicza, były drugocenne. Sted — do żywego dotknięty — przebił obecnych argumentem, iż jeśli w ogóle zniżył się on, poeta, do poziomu obecnego na sali audytorium, to tylko ze względu na honorarium, które jest mu niezbędne dla zapłacenia za obiad i butelkę wina, i że dyskutować dalej nie ma zamiaru! O reszcie — lepiej nie wspominać.

Do końca akademickiego roku 1958/59 Stachura chyba już niegdyś więcej na łamach lubelskiej prasy nie wydrukował.

Zbliżała się letnia sesja egzaminacyjna. Miała ona dla Stachury finał bolesny. Obiał egzamin z etyki u ks. prof. Olejnika. Poszedł na ten egzamin nie przygotowany, a że jeszcze zarzucał się podczas zdawania nonszalancko i był wobec egzaminatora zbyt pewny siebie, skończyło się to, w ostateczności, „zawaleniem” przez niego roku.

Pierwszego roku studiów nie można było repetirować. Nie natomiast nie stało na przeszkodzie, aby jeszcze raz starać się o przyjęcie na pierwszy rok romanistyki. I Stachura tak właśnie zrobił. Zbyszek Domarańczyk zamknął się do rozpruki: „Ty wiesz, jaki Sted numer wykręcił! Złożył jeszcze raz papiery, poszedł na egzamin, na i musieli go przyjąć. A co mieli zrobić, jak pisał ze znajomości języka wszystkich egzaminatorów, a pewnie by zagłębili i niejednego wykładowcę!”

Przy składaniu papierów na studia musiał Stachura załączyć także, jak tego wymagał przepis, „własnoręcznie napisany życiorys”. Brzmiał on następująco:

„Urodziłem się 18.VIII.1937 r. w Pont-de-Chéray (dep. Isère) we Francji. Dzieciństwo miałem spokojne i piękne. Kiedy miałem 7 lat, śniło mi się, że posiadam zdolność lotu. W tym czasie zacząłem uczęszczać do francuskiej szkoły elementarnej i sny zaczęły się zmieniać jak nowe obrazy w fotoplastikonie. Druga wojna światowa pamiętam tylko ze smaku czekolady, która obdarowywali nas Amerykanie. Pamiętam jeszcze parajaka na szafie naszej piwnicy, w której musieliśmy się ukrywać przez dwa tygodnie.

Kiedy miałem 11 lat, rodzice doszli do wniosku, że należy opuścić siołską Francję i powrócić do jeszcze słodszej Polski. Nie rozumiałem jeszcze wtedy słowa nostalgia. Teraz dopiero rozumiem, ileż smutku się w nim zawiera. Z opowiadań i książek słyszałem dużo o wilkach grasujących w Polsce. W listopadzie 1943 r. przyjechałem do Polski. Nie widziałem nigdzie wilków, ale nie mogłem się spodziewać, że tak małe będzie moje rozczarowanie.

Osiadliśmy się w ponurym miasteczku, Aleksandrowie Kuj. Było to kiedyś graniczne miasteczko i słynęło szeroko z przemysłu. Tujaż skończyłem szkołę podstawową. Ponieważ wykazywałem wysokie zdolności, oddano mnie do „gimnazjum” w Ciechocinku, żeby zrobić ze mnie „inżyniera” lub „doktora”. Po trzech latach przenieśliśmy się do liceum ogólnokształcącego w Gdyni, które ukończyłem i gdzie do tej pory ołoczony jestem legendą, jak wycyłałem w tamtejszej szkolnej gazecie. Jeden rok, tzn. 1956, włożyłem się do Polsce, napotykając wszędzie ślady wilków, a nigdy ich samych. Potem zacząłem studiować filologię francuską na KUL-u, gdzie dobrze fikiło osób wzruszyła mnie do głębi. Studia przerwałem przede wszystkim z własnej winy, a może z winy wierności tradycjom moich wielkich „cancéres”.

Ten życiorys, nie — to piękne opowiadanie Steda, jest dla mnie jakby wstępem do tego wszystkiego, co miało się wydarzyć w nadchodzącym roku akademickim, gdy Edward Stachura zaskoczył wszystkich blaskiem i siłą swojej poezji.

W powakacyjnym, podwójnym 19—20-numerze „Kamery”, z 1—31 października 1950 r., ukazały się dwa wiersze Edwarda Stachury: „Peizaż” oraz utwór bez tytułu („Osty nim dosięgły...”). Ale dopiero w następnym, 21 numerze, z 15 listopada, pojawiła się jego proza poetycka — „Błogosławiona bądź, laźnio!” To piękne, krótkie opowiadanie, od czasu którego zaczęło w lubelskim środowisku spoglądać na Steda innymi oczami:

„Tak jak dworzec był moim nocnym zimowym hotelem, tak laźnia przysparzała mi dzień. Kiedy się nie ma tego, co wy, laźnia jest instytucją nad wyraz gościnną. A jeśli jeszcze jest zima i zimno, i wiatr, i śnieg, i mróz, i zima bardzo, to trzeba błogosławić laźnię i czynić to w tej chwili. Błogosławiona bądź laźnio — hotelu przyjazny. Myśl mi, a kapalaś, a grzałaś. Odnajdywałem u ciebie ciało moje i cieszyłem się nim, bo to jest zioła żyła — swoje ciało. Błogosławiona bądź wiezo z kości stoniowej, błogosławiona dołno obiecana, po brudnych ławkach dworcowych każdego poranku obiecana. Ty znasz mnie dobrze, o panu dobra i pełna czułości...”

Nie wiem, dlaczego Sted nie włączył później „laźni” do żadnego ze swoich zbiorów opowiadań, dlaczego nie zawarł jej w poemacie, pięciotomowym wydaniu jego utworów. Przecież to krótkie proza mówią o ówczesnym Stedzie prawie wszystko: o jego wędrownie nieustannej, o bolesnej samotności, na którą sama się skazał, o potrzebie ludzkiego uczucia, o jego swobodnym mistycznym wreszcie o tym narcyzie, tak charakterystycznym dla Stachury-poety i dla Stachury-człowieka.

Część minionych wakacji spędził Sted na obozie lingwistycznym, zorganizowanym przez Katolicki Uniwersytet Lubelski dla studentów romanistyki

na podmiejskiej Poczekajce.

Wchłonięta dzisiaj przez rozbudowujący się Lublin, położona w dzielnicy Węlin przy szosie krańciskiej, była w owych latach Poczekajka cichym, wiejskim azylem, pełnym zieleni, kwiatów, śpiewu ptaków. Na dawnej resztkowej ziemskiej, należącej kiedyś do rodziny Andrzeja Struga, na skraju cieniściego parku, w którym stał stary, drewniany dwór, wzniesiono dwa domy akademickie dla studentek KUL-u. Tymi domami oraz gospodarstwem rolnym zawiadywały Szara Unszulanki. (Nieco bliżej Lublina wznosił się niewielki klasztor Kapucynów z kościółkiem). Na Poczekajkę dojeżdżało się z rzadka kursującym, rozkładotanim autobusem miejskim linii „5”, ale najpewniej było przejść tych kilka kilometrów, dzielących poczekajki „akademickie” od uniwersytetu, na własnych nogach. Podczas roku akademickiego odległe położenie Poczekajki stawało się dla studentek kosmarem. Ale w lecie było tam wspaniale! Nic więc dziwnego, że Stachura, zostając się na obozie z kolegami i z Poczekajką, wrzucił się do leż! Inną sprawą, że było to dla Stachury także pożegnanie z dotychczasowym

„rokiem”; jego koleżanki i koledzy mieli od października kontynuować studia na trzecim semestrze a on, „Villon” bo takie imię przybrał na obozie, gdy prowadzący zajęcia l'abbé Prévost zaproponował, aby każdy z uczestników przybrał sobie jakiś „francuski” pseudonim, miał rozporządzić studia od nowa wśród zupełnie nowych twarzy.

Sted wrzucił się łatwo. Ale nie było w tym nicia pozy. Jego kodeks honorowy — wiecznego wędrownia, księcia poezji, a może także jej błędnego rycerza — zakładał lojalność wobec przyjaciół, uczciwość wobec ludzi, prawdomówność i szczerść. Młoda lubelska poszerzyła spod znaku Esterpe przelazili nocami przez mur cmentarza przy ul. Lipowej i nad grobem Józefa Cechowicza roczytawali własne wiersze, rozpowiadając następnie o tym szeroko i długo; Sted także poszedł kiedyś nocą na cmentarz i na ten grob, i spał na mogile Poety, „bombą ratonoga w stalach”. Ale nie przyznał się nikomu, i dopiero po latach zwierzył się z tego na kartkach „Wszystko jest poezją”.

Do ówczesnego obrazu Edwarda Stachury trzeba dorzucić jeszcze

kilka innych szczegółów.

Po pierwsze fakt, że nigdy nie widziało go z dziewczyną; nie słyszano, aby z którąś umawiał się na randkę, by z kimś „chodził”. Nawet żadnej nie prosił do tańca na zabawach studenckich czy na dancinżach w kawiarniach. Należelniej siedział gdzieś z boku, przy stoliku, popijając wino. Jakby kobiety dla niego nie istniały. Jakby nie było istniało poza pisaniem. Kiedy w 1961 r. ukazały się w „Twórczości” pełne żaru i tęsknoty „Listy do Olgi”, były one dla wielu, znających Steda, prawdziwym zaskoczeniem.

Po drugie: śpiewanie. Bardzo chętnie brał do ręki gitarę; przy niezbyt wówczas wprawnym akompaniamencie śpiewał w gronie kolegów w „akademiku” piosenki francuskie, często te z repertuaru Pierre Brassensa. A także także, do których już chyba wtedy sam pisał słowa i komponował melodie. Ale to nie były jeszcze te piosenki, które wiele lat później miały tak bardzo rozświecić wśród młodzieży imię Stachury — śpiewane przez niego samego w radiu warszawskim, a potem, po jego śmierci, przez wielu innych, leższych nawet wykonawców.

Sted brał na strunach akord, odrzucał głowę do tyłu, przymykał oczy... Głos miał mało wyrobiony, ostrawy, momentami zawadzający. Widać było, że śpiewanie dało mu ogromną satysfakcję, ale... W tym śpiewaniu bardziej sprawiał wrażenie rozochoczonego zabawa i winem villenowskiego ryballa niż trubadura. Dopiero później to wszystko zmieniło się, nabrało miękkości i głębi, stało się stylem zupełnie samym w sobie, przekształciło się w to śpiewanie Stachury, które tak bardzo pociągają słuchaczy.

Po trzecie wreszcie: szachy i poker.

Heleńko weide do klubu „Pod Strzechą” przy Krakowskim Przedmieściu 32, ówczesnego klubu lubelskich stowarzyszeń twórczych „Nora” i pomysł o Stedzie, zawsze widzę go siedzącego przy stoliku na samym końcu głównej wielkiej sali, po prawej stronie, pod oknem na prawo od sceny, pochylony nad szachownicą. I — w towarzystwie Zygmunta Mikulskiego.

Z „Mistrzem” lubyla Steda miłość do Poezji, ale także — do szachów. Owej „gry królewskiej”, jak zwykły podkreślać, Tkwił godzinami w milczeniu, zatopieni w grze, nie zważając zupełnie na to, co się dzieje wokół. A w „Norce” zazwyczaj działo się dużo i głośno, szczególnie podczas wieczorów tanecznych.

Z „Mistrzem”, który w szachowej materii posiadał szczególną wiedzę i umiejętność, Sted grał na zasadzie: „sztuka dla sztuki”. Bo na co dzień, z innymi, zwykły grał głównie „na forszę”. Po sto złotych od partii. Co zresztą, pod koniec lat pięćdziesiątych, było sumą całkiem niewielką. Pieniądze wygrane w szachy pozwalały mu przeżyć z dnia na dzień. Szczególnie — jeśli się nie miało żadnej pomocy materialnej z domu, a stypendium na KUL-u sorowadzało się do „akademika” i wyżywienia — bardzo wówczas, nobile, podlegało — w studenckiej stołówce. Drugim źródłem zarobków, ale także namietnością Steda, gra „wciągająca” — jak kiedyś napisał — w odróżnieniu od „gry królewskiej”, był poker.

Gra w pokera, środowisko jego amatorów, ale także i zawodowców, świat rozrzuconych po kraju nielegalnych „kasyn” czy lubelskich melin, gdzie toczyły się rozrywki, stanowiły te strony życia Stachury, z którą się nie afiszował i o której nigdy nie mówił. Także prawie o niej nie wspominał w swojej twórczości. Tam byli zupełnie inni ludzie, inne pieniądze do wygrania lub przegrania, inne obyczaje, tam było inne życie. Zbyszek Domarańczyk opowiadał mi, że Sted potrafił pojawić się jednego dnia na uczelni z kilkumastoma tysiącami złotych i pięcioma zegarkami w kieszeni (były to, na ówczesne, studenckie wyobrażenia i możliwości, sumy wrecz zawrotne), a następnego dnia, po kolejnej pokerowej nocy, pożyczal od kolegów na papierosy. Sam pamiętam moment, gdy Stachura — przyjechawszy już w późniejszych, „warszawskich” latach, do Lublina — telefonował z redakcją „Kamery” pod jakimś miejscowym numerem, gdzie „szła gra”, mówiąc „szylfrem” na temat ewentualnego własnego uczestnictwa, i przedstawiając „rekomendacje” kogoś z Warszawy, znanego odbiorcy telefonu.

Opowiadano w studencko-artystycznym lubelskim środowisku, że Sted nie tylko świetnie gra (która to umiejętność nabył podczas licznych wояжy po kraju), ale potrafił, gdy zajdzie potrzeba, również dobrze „pomagać sobie” w kartach.

Moja osobista znajomość ze Stedem zaczęła się chyba właśnie w klubie „Nora”, przy kielszku wina lub wódki, która zresztą Stachura wolał, ale to wcale nie gardził. Wkrótce potem miałem go poznać także przy pokerowym stoliku, chociaż ja sam w karty nigdy nie grałem.

Kartki Rudnickiego

Lidia Wójcik

CHYBA w którejś z „Niebieskich kartek” Adolf Rudnicki powiada: „Czytanie jest przygodą, w której osobą najważniejszą jest sam czytający, a on nie jest przecież z kamienia”. Od lat czytuję Rudnickiego, powielekroć przeczucam te same kartki, wracam do jego dawniejszych i nowszych książek, i zawsze na nowo jest to jakaś przygoda. Zabrzmiało banalnie — wiem. Do pisarstwa Rudnickiego mam stosunek nieco nabożny, ale także — jeśli tak — prostacko rzecz można — praktyczny. Bardzo chciałam uzyć się od Rudnickiego pisania o aktorze. Przeglądam stale tomiki „Niebieskich kartek” po to przede wszystkim, aby podpatrywać pisanie o teatrze. Podziwiać, jak Rudnicki — niezawodowy przecie krytyk — po mistrzowsku, z wrażliwością i talentem niezwykle rzadkim, potrafi zapisywać swoje teatralne wrażenia. Znajduję u Rudnickiego głębokie i zupełnie niepowtarzalne opisanie sztuki aktorskiej. Cóż, owe teatralne relacje to po prostu literatura, nie żadne tam przecie recenzje. Ale jeszcze coś więcej: Rudnicki, pisząc o aktorze, o roli, o bohaterach sztuki, zawsze mówi przede wszystkim o człowieku, o tym, co w teatrze ludzkie. W jego prozie teatralnej (choć naprawdę to trudno wydzielić sprawę czysto teatralną) jakże dokładnie bywa opisana przede

wszystkim postać aktora-człowieka. Najciekawiej pisywał o Lomnickim, Holoubku, Eichlerównie, Pawliku, Hańczy.

Podobnie, kiedy autor „Ucieczki z Jasnej Polany” pisze o literaturze, nie czuje się nigdy suchego szeptu książkowego papieru. Są zawsze ludzie, twarze literackich bohaterów i twarze pisarzy, ich postawy i myśli, ich życie. Bo życie bywa chyba ciekawsze i bogatsze. Ale Rudnicki umie dowodzić, że i teatr, i literatura mogą być bogate, jeśli zdola się uchwycić właściwe proporcje między sztuką a życiem.

Nie bardzo lubię czytać książki, które brzmią anonimowo, w których nie czuje się autora, odrębności stylu. Stąd może wracam do autora „Niekochanej”. Zawsze bowiem można tam wyczytać, jaki jest sam Rudnicki, jak odbiera literaturę, teatr, aktora, środowisko pisarskie. Dostrzega się twarz Rudnickiego i niepowtarzalny jego styl. A styl to człowiek. Choć sam Rudnicki może nie w stylu widzi sens pisarstwa. W szkicu o Andrzejewskim powiada: „Od dawna podejrzewałem, że w zbytnej pielęgnacji stylu tkwi coś podejrzanego, tam gdzie technika wypiera duszę, zawsze żyje robak. Andrzejewski zawsze pisał pięknie”.

W pisarstwie Rudnickiego trudno właściwie wydzielić dokładne tematy i gatunki. W tym może zawiera się odrębność jego stylu „kartkowego”, złożonego po trosze z zapisków, opowiadań, wspomnień, czegoś na kształt dzienników. W tomach „Niebieskich kartek” mieszają się ze sobą opisy podróży i notatki z lektur, eseje i opowiadania. Trudno by tu było wyznaczyć ściśle podziały. Podobnie niezwykle cienka bywa u Rudnickiego granica pomiędzy fikcją i prawdą. Ale to może stanowić o niepowtarzalności tego pisarstwa. Jego swoistej „elegancji” i zarazem jakby niezbyt powszechnej dostępności.

Bo Rudnicki w gruncie rzeczy pozostaje pisarzem dosyć elitarnym, chodzi gdzieś jakby poboczem naszej literatury, osadzony w swoim odrębnym czasie. Tak naprawdę Rudnickiego powinni chyba czytać tylko ludzie, którzy ocalili jeszcze jakąś wrażliwość, przeświadczenie, że może istnieć więcej niż jedna wersja rzeczywistości i samego siebie, a również posiadli umiejętność czytania ponad i poza tekstem. Rudnicki nie jest chyba pisarzem dla masowego czytelnika (czy coś takiego w ogóle istnieje?) epoki obrazkowej, niecierpliwego, reagującego na mocne słowa, wyraziste zdania i jednoznaczne puenty.

W najnowszej swojej książce „Krakowskie Przedmieście pełne deserów” (PIW, Warszawa 1986), uskładanej z rozmaitych gatunków i tematów, Rudnicki powiada: „Świat piszących to świat zamknięty. [...] Świat ten w Polsce Ludowej zmienił się w getto całkowite, skąd się latami nie wychodzi, pisarze widują jedynie pisarzy. W sumie piszą więc o swoich zawiściach, których jest dużo, o urzeczeniach, których jest niewiele”.

Najprościej można by powiedzieć, że jest to właśnie książka o urzeczeniach przede wszystkim, ale

Ekran i widz

W pogoni za iluzją

OSTATNI film Woody Allena, „Purpurowa róża z Kairu”, to nie tylko kolejna komedia niekonwencjonalnego, wciąż zaskakującego niezwykle mi pomysłami, reżysera — twórcy „Spiocha”, „Annie Hall”, „Manhattanu”, ale zarazem swoiste studium samego kina; tej „latarni czarnoksiężskiej”, przenoszącej nas w krainę iluzji, w baśniowe światy, w które wkraczamy, z ciemności kinowej sali, na... pełne dwie godziny filmowego seansu.

Oczywiście, posiada „Purpurowa róża z Kairu” swoją zabawną fabułę: chodzi o perypetie kinomanki, która nie znajdując szczęścia w życiu osobistym, spędza długie godziny w kinie, śledząc w kółko losy swego filmowego idola. Aż w końcu „wychodzi” on z ekranu na spotkanie naszej bohaterki i ucieka, wraz z nią, w świat realny. Co notabene wprowadza absolutny zamęt w dalszej akcji filmu.

Lecz naszpikowana gagami i farsowo-komediowymi „zbitkami” sytuacyjnymi, doprowadzona do granic absurdu, historyjka wydaje się być dla Allena jedynie pretekstem dla wykazania, na gruncie psycho-socjologicznym, czym jest magia kina. Czym jest dla widza kino. Jak oddziałuje ono na naszą psychikę. Jakie relacje zachodzą między naszym życiem iluzyjnym a codziennym naszym życiem realnym. Co bardziej się dla nas, w istocie, liczy: realność czy uluda... A może obydwa te światy są tak ze sobą splecione, tak się nawzajem przenikają, że niepodobna ich rozgraniczyć?

Od samego początku twórczej działalności Woody Allena, od czasów, gdy był on jeszcze młodym komikiem kabaretowym, autorem humorystycznych tekstów oraz gagów dla programów telewizyjnych, charakteryzował go przede wszystkim dowcip inteligentny, odwołujący się do widza wybiegającego ponad przeciętny poziom, wprowadzonego dobrze w realia i problemy, w mity i obsesje współczesnej amerykańskiej społeczności, szczególnie jej warstw intelektualnych i artystycznych. Allen kpił, „chłostał” ów świat „biczem satyry” (choć pozostawiał przy tym zawsze spory margines dla liryzmu). On sam — jako postać, którą w swych skeczach, a następnie filmach kreował — był zawsze błyskotliwym, szybko kojarzącym, ale równocześnie trochę śmieszny, zagubionym inteligentem o żydowskim rodowodzie, tęskniącym do opiekuńczej miłości kobiety i do ciepła rodzinnego. Odwoływał się do doświadczeń braci Marx, Buster Keatona i Charlesa Chaplina, łącząc burleskę, komizm sytuacyjny, z doskonale tutaj z nimi współpracującym dowcipem słownym. Z czasem jego filmy — „Annie Hall”, a szczególnie „Manhattan” — były coraz bardziej „mówione”, coraz więcej było w nich inteligentnego tekstu, który padał z ekranu jak w czasie teatralnego spektaklu, co zresztą nie oddziaływało negatywnie na harmonię dzieła filmowego.

W „Zeligu” Woody Allen jakby odsunął na plan dalszy „literaturę”, a zaczął się bardziej interesować „formą”. A to, w jego wypadku, znaczyło bawienie się zdobywcami, jakie stwarza dzisiejsza technika filmowa, dająca takie możliwości iluzji na ekranie, o jakich dotychczasowym twórcom nawet się nie śniło. Allen wy-

myślił fabułę, której główny bohater, Zelig, posiada wrodzoną i — niezależną od niego samego — właściwość upodobniania się (niczym kameleon), więcej: stawiania się postacią, na jaką jest w danym momencie „zapotrzebowanie”. Może on znaleźć się w każdym środowisku, przystosować do każdej sytuacji. „Fenomen Zelig” jest badany przez psychologów (i tutaj miejsce na satyrę dotyczącą amerykańskich para-dokumentalnych, o „naukowym zacięciu” filmów z programów telewizyjnych sięgających z lubością do archiwów kroniki filmowej oraz do „relacji świadków”); jest to doskonale zrobiony pastisz. Lecz o ile silniejsze wrażenie od fabuły robi na widzu technika!

Oto zdjęcia Zeliga (gra go sam Woody Allen) są w sposób iście genialny wmontowane w retrospektywę amerykańskich kronik filmowych z lat trzydziestych i czterdziestych: pojawia się on na ekranie obok osobistości ówczesnego życia politycznego i ekonomicznego Stanów Zjednoczonych, „wfotoğrafowany” w miejsce, skąd „wymazano” inną historycznie autentyczną postać. W pewnym momencie Zelig, który z pochodzenia jest Żydem, jawi się nawet — tuż za plecami Adolfa Hitlera — jako wysoki funkcjonariusz NSDAP, na autentycznych kronikalnych zdjęciach jednego z Parteitagów! Iluzja osiągnięta za pomocą techniki jest kolosalna; ekranowy fałsz absolutnie nie do rozszyfrowania „gołym okiem”, a „historyczny zapis” na celuloidowej taśmie — wynaturzony i sprowadzony do całkowitego absurdu. Wali się w gruzy teoria naszego rodaka, Bolesława Matuszewskiego, współpracownika braci Lumiere, że wynalazek kina to szansa na zapisanie faktów historycznych w sposób prawdziwy i nieskażony...

W „Purpurowej róży z Kairu” chodzi Woody Allenowi — jak się już rzekło — o magię kina, wynikającą z jego iluzyjności, o relacje ekran — widz.

Pracująca w barze jako kelnerka, Cecylia (Mia Farrow) — jak wiele podobnych jej kobiet, które straciły nadzieję na jakąkolwiek życiową poprawę — stwarza sobie świat fikcyjny, zapelniony postaciami i ich „wielkoświatowymi” problemami z wyświeczonego właśnie w miejscowym kinie trzyczlorodkowego melodramatu — „Purpurowa róża z Kairu”. Kocha się w bohaterze filmu, szlachetnym, pięknym i nieustraszonej Tomie Baxterze, który „schodząc” w pewnym momencie z ekranu, staje się dla niej „postać realną”. Gdy pojawia się przybyły z wytwórni „na ratunek” filmowi, żywy odtwórca postaci Toma, Cecylia bardzo długo nie może zdecydować się, który z bohaterów jest dla niej osobą bardziej żywą: obydwa egzystują w jej świadomości równolegle, jako osobnie „z krwi i kości”.

Ale czy to takie dziwne? Czy w naszej własnej świadomości taka na przykład Scarlett O'Hara z „Przemienię z wiatrem” (filmu — wg książki Margaret Mitchell), w której postać wcieliła się na ekranie niegdyś Vivien Leigh, oraz aktorka Vivien Leigh, znakomita odtwórczyni licznych ról szekspirowskich, to nie — dwie samoistne, „żywe” postaci?

Woody Allen idzie jeszcze dalej: Cecylia, za Tomem Baxterem, wstępuje w jakimś momencie z widowni — na ekran, wkracza, jako partner, do akcji, w której dotąd uczestniczyła jedynie z biernej pozycji widza. Więcej: zaczyna wpływać — poprzez swoje „ekranowe działania” — na dalsze losy filmowej fabuły...

Oto — szczyt marzeń, jakie tkwią w każdym z nas, widzów, a do których wstydziliśmy się przyznać nawet sami przed sobą! Być Rhettem Butlerem, być Scarlett O'Hara, wstąpić w ich świat, świat iluzji — to jeszcze zbyt mało! Naprawdę — chodzimy do kina ze skrywaną głęboko wiarą, że kiedyś nadejdzie taka chwila, gdy uda się nam, przekroczywszy granicę iluzji, znaleźć się w innej — lepszej, piękniejszej rzeczywistości, gdzie wszystko zależało będzie od naszej woli...

Polemiki
mars-kość
pojmowania

ACZKOLWIEK w tym tekście występuje jako felietonista persona, nie o mnie w nim mowa. Szczęśliwy traf zdarzył, że mogę posłużyć się sobą jako medium dla zobrazowania pewnych praktyk publikatorskich. Czyli „posłuchajcie, o działki, bardzo ślicznej balladki” (Gałczyński).

W „Kamieniu” umieściłem krótkie omówienie zbioru wierszy Niny Andrycz „Drugie spotkanie z diabłem”. Pisarstwo nie jest profesją Andrycz, więc do lektury nie przyłożyłem miary najwyższych spodziewań, dlatego się nie rozczarowałem. Także nie zostosołem

Kajet literacki

Sztuka młodych

KILKANASCIE lat temu jako członkowie Koła Młodych marzyliśmy o wydaniu książki czy tomiku wierszy ale były to wtedy tylko marzenia. Teraz jest inaczej, wszędzie, nie tylko w Lublinie, wydaje się po kilka czy kilkanaście tomików, a równie dobrze można by by-

także o żalach, smutkach, zawiściach, i częściej o bezsilnościach. Pisze o pisarzach i książkach, o politykach, o literaturze naszych czasów w Polsce i jej mocnym wczepieniu — jak chyba nigdzie na Zachodzie — w życie społeczne, polityczne. Także o pewnych koniecznościach i bezsilnościach naszej literatury, które Rudnicki, od kilku lat mieszkający w Paryżu, dostrzega chyba i ocenia trafnie. „Zachodowi może potrzeba górników, ale nie słyszałem, aby tak bardzo szukali polskich myślicieli”. I parę kartek dalej znajdujemy jakby objaśnienie owych bezsilności i niemożności przebicia w świecie naszej myśli i sztuki: „Książka napisana w języku polskim nigdy nie będzie pierwsza, nie dopuszczą do tego najpierw ci w kraju, potem ci poza krajem. Najpierw utracą ją ci w kraju, potem ci z daleka. Naokoło mnie od lat mówią to samo właśnie, że w piekle polskim nie trzeba dozorców, wszyscy pełnią służbę dozorców”.

Wszystkie tematy i zdarzenia zapisane w tej książce, choć snują się poprzez oibryzmie obszary czasowe i przestrzenne, biorą właściwie swój początek gdzieś w okolicach warszawskiej Starówki, Krakowskiego Przedmieścia, gdzie siedziba Związku Literatów skupiała w ciągu lat różnych ludzi, sprawy i zdarzenia pisarzowi bliskie, gdzie w końcu Rudnicki przeżył wielką część swego ponad siedemdziesięcioletniego życia. „Zylem w warszawskim Watykanie w oieniu katedry Świętojańskiej. Codziennie w ciągu lat widywałem kardynała Wyszyńskiego; tłum cierpliwie czekał na jego wyjście, ja przy oknie także. [...] Zylem w jednym z najładniejszych miejsc na świecie i wiedziałem o tym. Zylem w warszawskim Watykanie, lecz nigdy nie przekroczyłem progu Katedry — w sensie metaforycznym. Teraz kogo prosić o słowo pożegnania przed zasypianiem mi ust garścią piasku [...]. Ważne, okropnie ważne!”.

Takich pytań natury „eschatologicznej” można znaleźć w książce Rudnickiego wiele, może dlatego, że pisze najczęściej o ludzkim odchodzeniu, o mijającym czasie i oddalających się zdarzeniach, o zmarłych niedawno pisarzach, Andrzejewskim, Jastrunie. W zwartą całość układają się te na pozór luźne myśli o ludziach, o piarstwie własnym i cudzym, widzianym z perspektywy lat inaczej: „Wszystko to bierze się stąd, że się literaturę traktuje jak religię. Lecz religią jest ona w stopniu niewielkim i dla niewielu. Ządęcie, fałszywe ządęcie w tych wszystkich rozmowach, jakie wiodą ze sobą artyści. Oszukują, tym gorzej — że nie wiedzą nawet o tym, że oszukują!”.

Do słów zapisywanych przez starych pisarzy przykładamy zwykle jakąś odrębną miarę. Ot, choćby „Mapa pogody” Iwaszkiewicza, tomik z ostatnich lat jego życia, przynosi myśli, które można odnaleźć wprawdzie w dawniejszych dziełach pisarza, a jednak, ustawione w kontekście słów „stary poeta młowi”, nabierają jakby innych sensów. Porównanie nie jest akurat nazbyt trafne, bo u Rudnickiego nawet pisanie o tych samych sprawach za każdym razem bywa inne i odkrywcze. W „Krakowskim Przedmieściu...” pojawia się wiele problemów i pytań, które mogły zostać zapisane chyba tylko w ostatnich latach, w epoce społecznych obrachunków w Polsce: „Wybrali się uszczęśliwić ludzkość, a kupują stacje benzynowe dla swoich szwagrów, szklarnie dla starych rodziców, a wille dla nowo narodzonych wnuków!... Sprawdzają marmury do klozetów, o, proletariackie dzieci — dokąd zawędrowałyście!...”. I jeszcze w innym miejscu: „Kto za ten kraj odpowiada? Kto naprawdę przejmuję się losem tego kraju, losem dzieci, ludzi starych, kto?...”.

Poetyka podsumowań i obrachunków piarskich, obecna w wielu tekstach składających się na tę książkę, ustawiła pewnie perspektywę widzenia. Po-

wiada Rudnicki: „Czas podsumowania, pora więc powiedzieć, co na ten temat myślę: zawsze brałem udział w głównych bitwach [...] Po wojnie zmierzylem się z tematem zagłady Żydów, ja, nie kto inny. [...] Zmierzyłem się z Sierpniem w książce, która dotąd śpi snem głębokim w szufladach wydawców, ja, nie kto inny. Zawsze na pierwszej linii frontu. Nie outsider, za to człowiek samotny, bez sojuszników, nie miałem ich”.

Człowiek samotny, Rudnicki, zdaje się, zawsze chadzał własnymi ścieżkami literatury. Nawet w początkach lat pięćdziesiątych nie oddał się do końca radości, produkcyjnej twórczości realizmu socjalistycznego, pisując swoje, możliwe „neutralne”, „Kartki sportowe”.

Wypadałoby może jeszcze dalej cytować istotne myśli Rudnickiego o literaturze i naszej rzeczywistości, wyluskiwać je ze szkiców o Andrzejewskim, Jastrunie, Gombrowiczu, z tekstu o dziele Dostojewskiego i o „Myślach nieuczestnych” Leca, z wypowiedzi o Karolu Kuryłuku i Wilhelmie Machu. Są to bowiem swoiste literackie desery. Pisane jakby w przeświadczeniu, że literatura sama w sobie nie może być celem, jedynie tylko środkiem. Jeśli poprzez osobę pisarza, wagę i wymiar opisywanych spraw nie wiedzie ku człowiekowi, to właściwie nie służy niczemu. Bo — powiada Rudnicki — „O jakim rozwoju w sztuce mówić zresztą? Lęk przed śmiercią, który nie opuszczał nigdy istoty ludzkiej ani na chwilę, miłość, której człowiek nigdy nie przestawał szukać — dwa źródła główne sztuki. [...] I co się tutaj może zmienić?”. Jakże to właściwie proste, prawda? Chyba tak proste, że może mieć jedynie sens, pomieszczone na kartkach „Pożegnań” z tomu „Krakowskie Przedmieście pełne deserów”, u pisarza miary Rudnickiego.

uwielbiamy taryfy ulgowej. Postąpiłem lojalnie — ani nie deprecjonując wierszy, które, gdyby nie pozycja aktorska autorki, przypuszczalnie nie wyszłyby w druku, ani nie windując ich kurtuazyjnie dla uznania jej artystycznych osiągnięć na innym polu.

Tymczasem co? Tymczasem nawet w oparciu o kilka zdań mojego omówienia niejaki mars w „Kulturze” (nr 33) potrafił dać koncert ignorancji połączonej z kręctwem. Nie będę przytaczał moich fragmentów i wydziwiał marsa w całości, bo to zajęłoby za dużo miejsca w stosunku do znaczenia sprawy, ale coś przytoczyć trzeba. Napisałem: „nie tyle język, co użytkowanie języka jest tu nieco staroświeckie”; mars: „ze zdania o języku i jego użytkowaniu wynika akurat tyle co nic”. Owszem, nie wynika, że $E=mc^2$, ale ze znaczeniem tych słów niczego nie może złączyć tylko mars. Dalej: „Co to w ogóle znaczy „poznawczość” tekstów w stosunku do dzisiejszych stylistyk?” Jeśli mars nie wie, pozostaje mi tylko wyrazić współczucie z powodu jego niedoli umysłowej. Bo poza granicą, tekst to „ogół słów tworzących pewną całość” (Słownik języka polskiego. PWN. 1981), styl to „sposób wyrażania się, formułowania wypowiedzi w mowie lub piśmie” (tamże). Co jeszcze?

Dworuje sobie mars z wyrażenia o „anachroniczności, która w ten właśnie sposób okazała się aktualna”. Już się sam wystarczająco z ignorancji zdekonspirował, więc nie będę mu wypominał niewiedzy o pewnych literackich specyficznych według których sformułowania nabierają sensów poetycko nawet sprzecznych z ich zawartością semantyczną. Czy nie zetknął się z powiedzeniem o „historii wesołej i okropnie przez to smutnej” (Wyspiański), „mróz spali” (Liebert), z morwą która u Gałczyńskiego raz jest słodka, raz gorzka, a mimo to za każdym razem jest nazwana celnie?

Mówi mars, że Nina Andrycz jest znakomitą autorką. Znakomita po jednym tomiku? Drugi jest w trakcie omawiania. Dobrze, pomyłka drukarska, ma być „aktorka”. To znaczy, że według marsa dokonania Andrycz w jednej dziedzinie rzutują na ocenę jej dokonania w dziedzinie innej. Więc gdyby kiedyś np. Dunikowski palcem odstukał „Wspomnienie dla Elizy”, byłby powód rozgłosić, że zyskałoby nowego interpretatora Beethovena, Dunikowski przecież.

Jeśli mars kreuje się na tak rygorystycznego stróża poprawności językowej, to miał pod ręką tekścik znacznie bliższy i sposobniejszy. Nie potrzebował sięgać do lubelskiej „Kamena”, miał pod ręką warszawską „Kulturę” (ten sam numer). W niej recenzję Krzysztofa Marii Sieniawskiego na temat „Powrotu Abła” Urgacza z takim stylistycznym ciastkiem: „Nieodparte wrażenie wspaniale skonstruowanej i przebogatej zinkrustowanej Pełni Życia, wczarowanej za pomocą pocie tylko znanych metod w strofy wiersza o krystalicznej czystości”. Pełnia Życia jaka? Zinkrustowana i wczarowana. I metody znane tylko Urgaczowi, który, znajdując się w tej wyjątkowej sytuacji, dziwne, że nie stał się nieczytelny.

Swój in spe dowcipny pamfletik mars zatytułował „Diabelstwo”. Jak świetnie: O diable mowa w tytule tomiku Andrycz, Mikulski o tomiku pisze, więc oto mamy, jakże inteligentna pazerzutkę. Hi, hi, hi!

Zastrzegam się po raz drugi, nie pro domo mea ten felieton. Nie padłem, wytrzymam. Tylko w sporach mniej więcej literackich chciałoby się widzieć przestrzeganie zasad każdego sporu dotyczących. A co do mojego antagonisty, to skoro tak wiele nanierozumiał, zasługuję mu enuncjacje, którą powinien być usatysfakcjonowany. Na ucho: Ala ma kota.

Zygmunt Mikulski

Litewskie echa w Polsce

Na półkach księgarskich ukazała się druga po „Babim lecie” (WL 1973) powieść litewskiego pisarza Vytautasa Sirijosa-Giry (którego sylwetkę twórczą prezentowała „Kamena” w sierpniu ub. roku) pt. „Mahoniowy raj” w przekładzie Mieczysława Jackiewicza. Lektura tej książki, wydanej w skromnej, lecz estetycznej szacie graficznej, daje czytelnikowi nie-malą satysfakcję.

Losy głównego bohatera-narratora (od dzieciństwa, poprzez szkołę, studia medyczne, pierwsze lata praktyki lekarskiej, okres wojny i partyzantkę, aż do najnowszych czasów, które stanowią punkt wyjścia dla retrospekcji), są jednocześnie obrazem życia Litwy, głównie przedwojennej, jej złożonych problemów i przemian dokonujących się w sferze zewnętrznej i w człowieku.

Udział kapitału obcego w gospodarce, emigracja zarobkowa, zróżnicowanie poziomu materialnego społeczeństwa, skomplikowane stosunki polityczne, narastanie faszyzacji życia, budzenie się sił postępowych — oto najważniejsze problemy poznawczej warstwy książki. Jednak wartość utworu nie sprowadza się wyłącznie do tego.

Głęboko wnika autor w wewnętrzne życie postaci, kreśli sylwetki z rozmachem, lecz z dyskrecją, w całym bogactwie ich reakcji i niespodzianek charakteru. Ludzkie czyny wyważa dokładnie, choć wady zarysowuje ostro. A jakim znakomitą studium psychiki kobiecej i różnych odcieni uczucia między kobietą a mężczyzną jest ta książka!

Pisarz zwycięsko wyszedł ze spotkania z tak obšernym materiałem, unikając pływacz, uogólnień, zubożenia warsztatu. Dał rzecz nowoczesną, a przecież mocno osadzoną w tradycjach najlepszej powieści europejskiej.

Co w „Mahoniowym raj” wrusza najbardziej, to specyficzne zatrzymanie czasu minionego z całą gamą rekwizytów, z barwnością toczącego się niegdyś życia, ze świetnym uchwyceniem ludzkich zachowań na te konkretne sytuacje (wnikliwa obserwacja środowiska studenckiego i lekarskiego). Ale przecież to zatrzymanie czasu jest też madra refleksja nad jego wpływem, nad kruchością egzystencji człowieka. Aż się prosi, żeby szukać korzeni, związków, pokrewieństw. Wymienie choćby Prousta, zaś z bliższych — Iwaszkiewicza, który np. wysoko cenil tę książkę. Powroty w przeszłość, choć owiane nutą sentymentu, nie są jednak sielankową podróżą w krainę dobrych wspomnień. Ukazana rzeczywistość jest groźna, budzi lęk i niepokój. Myślenie już pomruki nadszarpniętej burzy dziejowej, która wkrótce zdruzgotuje stary świat. Warstwa emocjonalna powieści Sirijosa-Giry doprawiona jest ciekawym dowcipem, lekką ironią, pewnym dystansem do opisywanych wydarzeń, co pozwoliło uniknąć emfary. „Filozofia” utworu naturalnie wynika ze sposobu kształtowania fabuły i postaci, nie z mentorstwa pisarza. Przy tym wszystkim ta piękna, pełna poetyckiego uroku i liryzmu, choć mocno osadzona w realiach książki jest do czytania. Akcja toczy się wartko, nie unika autor chwytów przynależnych nawet powieści kryminalnej. Trudno się dziwić, że powieść, przeniesiona na mały ekran, doczekała się w lipcu tego roku ósmego emisji w telewizji litewskiej.

Starsze pokolenie Polaków odnajdzie tu czasem echa bliskie, młodsze — egzotykę kraju zza miedzy. Warto sięgnąć po tę dużej urody książkę, tym bardziej, że przekład wyjątkowo wiernie oddaje specyfikę stylu litewskiego pisarza.

Elżbieta Cichla-Czarniawska

Vytautas Sirijosa-Gira: „Mahoniowy raj”. Wyd. „Pojezierze”. Olsztyn 1984.

ło wydawać ich po kilkadziesiąt. Styl tej poezji nazwałbym stylem wojewódzkim dlatego, że serie tomików finansują z reguły ośrodki wojewódzkie. Poza tym mało co więcej o stylu da się powiedzieć. Gdy ta edytorska moda dojdzie do ośrodków gminnych będziemy mogli mówić o stylu gminnym. I to tylko będzie wtedy nowe i twórcze.

Przejdźmy teraz do sztuk mniej elitarnych. Piosenka też przecież ma jakieś tam związki z poezją, i to najwyraźniej romantyczna na dodatek. Młodzi wyjezy z gitarą i przecież prawnikowie zbuntowanych bohaterów Byrona, Współczesny Konrad z listy przebojów nie jest jednak młodzieńcem ani dobrze urodzonym, ani dobrze wychowanym. Przydomina raczej bohaterów prozy lumpowskiej z poprzednich dziesięcioleci. Ten sentymentalny spryciarz wpięty w młot i po-

drygiwał w beletryście, a teraz wyskoczył na estradę. W przyrodzie i w sztuce nic nie ginie. Zresztą piosenka czasami nawet dość starannie uprawia te polietka na zboczech Olimpu, które poeci bezmyślnie przemienili w ugory. No i mają piosenkarze rację. Olimp z jednej strony jest urwisty, stromy, dostępny tylko dla alpinistów ryzykujących złamanie karku. Z drugiej strony są jednak tam łagodne zbocza, po których dojdzie nawet telewizyjny wóz transmisyjny.

Piosenka to domena nastolatków. Ludzie nieco starsi, powiedzmy studenci, którzy powinni już być osobnikami dojrzałymi, a nie lisyjącymi niedorostkami — chętnie uprawiają teatr eksperymentalny, eksperymentalny bez końca, od stu lat wielkiej reformy. W rozmowie z młodym reżyserem, wspaniałym zresztą człowiekiem, próbowałem trochę podyskutować na te tematy.

Jeden z kanonów tego teatru głosi, że widz powinien być wciągany do akcji — zauważyłem, — To powoduje, że na scenę wkracza chaos i tandeta. Oczywiście, to jest dobry sposób na zademonstrowanie tandety i chaosu świata. A jak w takim razie wyrazimy porządek i majestatyczność istnienia, jego racjonalne piękno? Taki punkt widzenia też przecież funkcjonuje. Albo jeszcze sprawa teatru autorskiego. Twórcą jest autorem tekstu, wykonawcą i reżyserem. Ta wszechstronność z góry także zakłada amatorszczyznę i tandetę, a wszakże w sztuce szukamy przede wszystkim maestrii i kunsztu.

Trudno jest o tym dyskutować, bo to nie są pytania dla młodych wodzirejów jednego karnawału. W plastyce też zachodzą zjawiska podobne, więc nie będziemy tu mnożyć przykładów.

Cały problem można by było podsumować cytatem z pewnego lubelskiego

klasyka: „Ej, dzieci, dzieci!” — jak mówił on kilkanaście lat temu, zakładając do maszynopisów kobylastych powieści czy enigmatycznych wierszy. Był wprawdzie tylko parę lat od nas starszy, ale co to ma do rzeczy. Klasyk jest zawsze bez wieku, tak samo jak gwarantujące ten porządek boginie.

Felieton o młodych nie powinien mieć pointy, gdyż aktualni, chciałoby się rzec: dyżurni młodzi starzeją się wprost błyskawicznie, a iacy beda ci następni, wyrastający im spod łokcia — zobaczymy.

Janusz Olezak

Och, życie!

— 5 —

Znów sama

Krystyna Dubik

ZNALAZŁAM się w szpitalu. Na łóżku wierciłam się jak oparzona: kładłam się, to znów siadałam. „Dlaczego tak cierpię?” — wołałam wijąc się jak piskorz... Wreszcie dziecko przyszło na świat. Córka. Pięć kilogramów żywej wagi!

Od męża otrzymałam długi, bardzo długi list. „Jakże się cieszę — pisał — że dzięki Tobie zostałam wreszcie ojcem, że przy Tobie znalazłem tę cichą, upragnioną przystań, że Ty jesteś moim przeznaczeniem...”

Potem nastąpiła Gwiazdka. Taka, jakiej już nigdy więcej nie przeżyłam. Pod wystrojoną choinką znajdowała się duża paczka. Mógł w niej być maciupenki prezent, takie dowcipy się zdarzają. Nie! Otworzyłam ją z ciekawością i wewnątrz znalazłam futro z naturalnych fok. Szarpnął się mój małżonek, nie ma co!

☆

Był wrzesień 1954 r. Iza miała zaledwie pół roczku. Małgosia wyposażyłam już w pełni do szkoły. Małgosia przebywała jeszcze u babci. Ponieważ praca Henryka nie wymagała ściśle określonych godzin, nie zrezygnowałam z pracy, nie brałam żadnego długiego urlopu. Awansowano mnie w Administracji Domów Wczasowych. Przy biurze znajdował się mój dodatkowy pokój słuźbowy, w którym zwykle mieszkała odwiedzająca mnie czasami dalsza rodzina. Wiadomo, Wybrzeże.

Jednym z podstawowych warunków powodujących zadowolenie wczasowiczów jest zapewnienie im dobrego wyżywienia. Książka życzeń i zażaleń była pełna pochwał. Najtrudniej pracowało się podczas zmiany turnusów, dwoiliam się i troiliam, zastępowałam też czasami instruktora kulturalno-odwintowego. Oczywiście różnie się zdarzało. Niektóre spośród kucharek nie grzeszyły uczciwością. To i owo tuszowało się, a jednak pod koniec jednego z turnusów wyniknęła intryga, skutkiem której szefowa kuchni uniosła się ambicją i odeszła. Odbilo się to na wyżywieniu gości.

Bardzo lubiłam wieczorki zapoznawcze. Sama się w czasie nich bawiłam. Podziwiałam talent niektórych ludzi, którzy umieli wytworzyć łącie domową atmosferę. Później trudno się było rozstać. Wymienialiśmy adresy, pisywali do siebie. Z tego powodu Henryk był nawet trochę zazdrosny. Ktoś wydał mi kiedyś, mówiąc, że grałam na gitarze. Wieczorek przeciągnął się do późnocy. Pamiętam, że w życiu nie miałam takich owacji!

Zabawa zabawą, ale w sumie pracowaliśmy z Henrykiem, zwłaszcza latem, bardzo ciężko. Wykorzystując zlewki z kuchni zaczęliśmy, biorąc przykład z innych, hodować świnię. Potem zaczęłam u siebie wynajmować pokoje. Założyliśmy księżkę oszczędnościową, nasza sytuacja materialna bardzo się poprawiła. Dzieci miały należytą opiekę, zawsze ładnie ubrane, podziwiane wokół... Iza wyglądała jak z obrazka. Miała blond włosy, poskręcane w pierścienie, duże błękitno-zielone oczy pod frankami długich, ciemniejszych nieco, rzęs. Wciąż się śmiała. „Co za urocze, zabawne dziecko!” — mówili znajomi.

Zdawać się mogło, że nie już nie znaczą tego naszego ustabilizowanego, rodzinnego życia. A jednak!

Kiedyś poprosił mnie Henryk, abym mu oddała do prania garnitur. Wyjmując z kieszeni chusteczki do nosa, natknęłam się na list pisany kobiecym charakterem pisma. Wiem, że to nieładnie, ale nie mogłam się powstrzymać, aby go nie przeczytać. Był to list od jego siostry, która pisała:

„Kochany nasz Braciszku! Właśnie dostałyśmy list od Irenki, która nam się żali, że porzuciłaś

ją dla jakiejś tam rozwódki i to jeszcze z dwójkiem dzieci. Czyżby oszalała, Henryku? Nieszczęścia sobie chcesz na stare lata napytać? Opamiętaj się, kochany Braciszku! Już tyle lat byłeś z Irenką, przedstawiałaś ją nam, i nie tylko nam, jako swoją żonę. Datę ślubu niepotrzebnie wciąż odkładaliście. Ot i masz! Taka straszna to dla nas wiadomość. Cóż to za nieczysta siła od tej przeklętej kobiety tak Cię opętała? Ty, co to się nie mogłeś wprost od kobiet obronić, zamiast wybrać sobie jakąś bogobojną, uczciwą panienkę, chcesz zhańbić naszą rodzinę i żyć tylko na „kartę rowerową” z jakąś tam przebrzydłą rozwódką? A choćby ona ze szczerego złota była, to i tak rozwódką-czarownicą. Wujek Antoni (ksiądz — przyp. mój) twierdzi, że słusznie takie kiedyś na stosie spalali, to przez nie porządne dziewczyny starymi pannami zostają i mężatki nieraz cierpią. [...] Niech Cię Bóg broni i ma Cię w opiece przed taką nieczystą siłą. Specjalną mszę w tej intencji odprawi wujek. Będziemy na niej wszyscy, łącznie z rodzicami. Nie daj się nabrać, kochany nasz Braciszku. Dobrze wiesz, że nie pozwolimy jej nigdy przekroczyć naszego progu, a także przez nią nie chcemy stracić Ciebie. Polecamy Cię Bogu Wszechmogącemu, modlimy się wszyscy w tej właśnie intencji. Alicja, Helena, Monika, Regina, Maria i rodzice.”

Jak mógł nie zniszczyć tego listu? Dlaczego akurat w dniu, kiedy jego wuj-ksiądz odprawiał mszę św., on zawierał ze mną związek małżeński? To właśnie wtedy udaliśmy się do Urzędu Stanu Cywilnego. Czyżby list otrzymał za późno? A może wszystko tak się stało specjalnie?

Przed oczyma stanęło mi wesele. Restauracja. Dwa zestawione ze sobą, efektownie udekorowane stoły. Strzelał szampan. Goście i personel restauracji śpiewali nam „Sto lat”, składali życzenia. Spoglądaliśmy na siebie. Jak myśłyśmy się odnaleźli w życiu? On z Kartuz, ja spod Lidy, dwa końce przedwojennej Polski... Chciałam go zapytać o jego rodziców, ale wyraźnie unikał tego tematu. Oświadczył podnieconym głosem: „Ze mną będziesz żyła, a nie z moją rodziną!”

Później pojechaliśmy do Wolina. Matka z ojcem witali nas chlebem i solą, a dzieci patrzyły zdumione



Rys. Józef Tarłowski

mione tym, co się dzieje. Jeszcze wręczono nam kieliszki z wódką, którą koniecznie trzeba było wypić, a kieliszki rzucić tak, by się potłukły. Mój kieliszek się nie rozbił. „To zły znak” — ktoś powiedział. Pan młody gdzieś zniknął. Odnalazłam go na piętrze. Stał przed oknem wpatrzony gdzieś w dal. Przy kim był wówczas myślami? Przy rodzinie? Rozplakał się. Wzięłam go za rękę, przytuliliam do niego głowę. „Dlaczego płaczesz?” — pytałam. Wyrzekł tylko: „Przepraszam”.

Ale później na matkę chrzestną dla Izy zaprosił najmłodszą ze swych siostr, Renia przyjechała natychmiast z mężem i piętnastoletnią pasierbicą. Kolejnego lata odwiedziła nas jego druga siostra, również z mężem i dziećmi. Przyjmowaliśmy ich serdecznie. „Czas — powiedział Henryk — abyś poznała i moje następne siostry, a także rodziców, ale oni są starej daty, dla nich ślub cywilny nie ma żadnego znaczenia...”

Teraz, po przeczytaniu znalezionej w kieszeni listu, wszystko całkowicie mi się w głowie rozjaśniło, ale w dalszym ciągu nie wiedziałam, komu to go ukradłam, o jakiej to Irenie pisała siostra?

☆

Tu już muszę się trochę posługiwać późniejszym opowiadaniem mojej córki, Gosi. Miała ona prawie pięć lat. Wiedziała, że się nazywa Małgosia Zuchowska, ale nie zdawała sobie sprawy, z jakim wysiłkiem przyszło jej matce wymóc na jej ojcu to nazwisko (jak wiadomo, mieliśmy tylko ślub kościelny, nieważny wobec prawa).

Właśnie Gosia biegała beztrudno po olbrzymim ogrodzie u moich rodziców, kiedy podszedł do niej jakiś mężczyzna, mówiąc, że jest jej ojcem. Zdumiała się, bo przecież Henryka traktowała teraz jak tatusia. „Nie znam pana” — oświadczyła. A on na to: „Jak się nazywasz?” „Małgosia Zuchowska” „No widzisz, zgadza się. Ja też się nazywam Zuchowski” Ujął ją za rękę i wszedł do mieszkania dziadków. Nietrudno sobie wyobrazić, co się działo w sercach staruszków! I tak oto wyglądało

pierwsze po latach spotkanie ojca z córką, której nigdy nie pragnął, której nigdy nie widział, do której nie usiłował się przyznać...

Później zjawiał się u mnie w Międzyzdrojach. Henryk był akurat tego dnia w Szczecinie. Mareczek znajdował się w szkole. Pamiętam, długo stał w drzwiach, a ja nie wiedziałam, jak mam się zachować. „Nie powinienes tu przychodzić — powiedziałam wreszcie. — Nie powinienes pokazywać się dzieciom, a już, nie daj Boże, Henrykowi! Spaliles mosty poza sobą, mnie wyrobiles opinie la-dacznicy. Czy chcesz burzyć to, co z takim trudem zbudowalam?” „Masz rację — przyznał — ale nie masz prawa zabronić mi widywania się z dziećmi. Płacę na nie” — dodał. „Wstydzilibys się tak mówić! Nie ośmieszaj się! Gotowa jestem zrezygnować z twoich alimentów w zamian za wyzreczenie się ojcostwa. Henryk pragnie twoje dzieci adoptować”. „Oszalałaś? — oświadczył. — Słyszałem, że nie traciłaś czasu i już z tym swoim Henrykiem masz następną córkę”. Odpowiedziałam nie bez dumy, że takich ojców, jak Henryk, można ze świecą szukać. Pożegnaliśmy się bardzo chłodno. Byłam pewna, że więcej nie przyjedzie. Tymczasem na Gwiazdkę przysłał dzieciom prezenty, a latem zjawiał się ponownie. Henryk stał w drzwiach pokoju i patrzył na niego ze zdziwieniem. Było w nich jakieś zewnętrzne podobieństwo, chociaż wewnętrznie stanowili niesamowity kontrast. Staszek wyciągnął dłoń do Henryka i powiedział: „Jestem ojcem Marka i Małgosi”. Zabrzmiało to dość dziwnie. Jakby był z tego dumny, jakby ironizował... Henryk zbladł, nie wiedział, podobnie jak i ja, przy pierwszym spotkaniu, jak się ma zachować. „Zrób nam herbatę” — rozkazał wreszcie. Sądziłam, że lepiej będzie, jeśli ich zostawię w pokoju samych, ale byłam przecież ciekawa, o czym rozmawiają. Usłyszałam, że Henryk wysuwa propozycję, aby dzieciom dać swoje nazwisko. Ostatecznie zawołał mnie, a Henryk zaproponował, abyśmy wieczorem spotkali się w „Oazie” i tam o wszystkim pogadali. „Dzieci — zastrzegł się — nie mogą o niczym wiedzieć, trzeba wszystko załatwiać dyplomatycznie”.

Henryk nie wiedział, że Staszek już zdążył spotkać się z Małgosią...

Kiedy wyszedł, pokłóciłam się z mężem. „Po jakiego diabła — wołałam — zapraszasz go na dancing? Może jeszcze pozwolisz, abyśmy wspólnie tańczyli?” Nie miałam jednak odwagi, aby powiedzieć Henrykowi, że Staszek tu już raz był!

Wieczorem w najnowszej kreacji, w wieczorowej sukni z chińskiego jedwabiu, z długim sznurem perel wplecionych w warkocz, przesadnie trochę „opierścieniona”, ale tak życzył sobie Henryk („Niech on widzi, co stracił!”), zjawiałam się w „Oazie”.

Rezultat spotkania był żaden. W sprawie dzieci się nie dogadali. Do naszego stolika dosiadło się jedno ze znajomych małżeństw. „Co to za facet?” — pytała Jadwiga, z którą Staszek pozwolił sobie pójść w tany. „Kuzyn z dalekiej strony mojej mamy” — skłamałam. Co miałam zresztą powiedzieć?

Nie przewidziałam, że „kuzyn” zacznie się teraz w Międzyzdrojach pojawiać co roku, nawet ze swoją żoną, którą przedstawił mi któregoś lata.

Spostrzegłam, że Henryk, może nie od razu, zaczął się zmieniać w stosunku do mnie. Zwłaszcza, kiedy raz w restauracji podszedł do mnie Staszek prosząc mnie do tańca (tym razem nie przyszłiśmy wspólnie, nie wiedziałam nawet, że przyjechał). Odmówiłam mu. Henryk był już trochę na rauszu. „Nie zatańczysz? — prowokował mnie. — Przecież lubisz tańczyć. Idź, na co czekasz!” — rozkazywał. Jeszcze go takim nigdy nie widziałam. „Uspokój się” — prosiłam. Staszek tymczasem zniknął, a ja siedziałam jak w ukropie, czułam na sobie ciekawe, żadne sensacje spojrzenia obecnych. „Chodźmy do domu” — prosiłam łagodnie Henryka. „Siedź!” — warknął. Orkiestra znów zagrała, chciałam z nim zatańczyć, ale on siedział nieruchomo. W pewnym momencie podniósł lampkę z nie dopitym alkoholem i chlunął mi nim w twarz. Jakimś nieswoim głosem powiedział: „Ty, k...!”

Było to coś dla mnie przerażającego. Ostatecznie wróciliśmy do domu. Tutaj Henryk wziął się za demolowanie mebli. Porozbijał wszystkie, niszczył nie tylko te, które sam kupił, ale i te, które przywiozłam...

Następne dni minęły niespokojnie, prawie nie rozmawialiśmy ze sobą. Pewnego dnia wróciłam z pracy do domu i na stole zastałam kartkę od Henryka ze słowami: „Daj mi znać, kiedy on wyjedzie, a wrócę”. Domyśliłam się, że ten sep, Staszek, znów gdzieś tutaj krąży. A Henryk zapewne musiał mnie podejrzewać o prowadzenie podwójnego życia. Ta nieufność z jego strony doprowadziła mnie do pasji. Natychmiast postarałam się o tygodniowy urlop. Przerwałam Mareczkowi zajęcia w szkole i odwozłam go do swych rodziców. Iż zabrałam z sobą do Wrocławia, gdzie poodnawiałam kontakty z rodziną. Gotowa byłam tam zostać. Była gdzieś Podjąć każdą pracę. Ale nie miałam jednego dziecka, tylko całą trójkę. Musiałam żyć dla nich i myśleć też o starzejących się rodzicach.

Wróciłam. Henryk powitał mnie nawet z kwiatami, ale niedługo potem oświadczył mi, że chce spędzić urlop z rodziną, głównie z rodzicami, których wiele lat już nie widział. „Czy wróci?” — myślałam. Wrócił po miesiącu. Wrócił, aby zabrać swoje rzeczy. Małgosia płakała, bo uważała go za tatusia, Iza też szlochała, jedynie Mareczek bronił się jak mógł, choć też łzy cisnęły mu się do oczu.

Wyjeżdżając Henryk nie wiedział, że znów byłam z nim w ciąży. Marcinek urodził się po naszym rozstaniu...

Życie... Och, życie!

PROCES zaniku sensownej reklamy w PRL, rozłożony oczywiście w czasie, współgra idealnie z przemianą naszego handlu w centralny system dystrybucji towarów. W sklepach zawisły na stałe flaczaste garnitury o wymiarach 243 cm (wzrost) na 387 cm (obwód w pasie), półki wypełniły mydelka toaletowe „For you”, których walory zapachowe okazały się trudne do określenia (zniesienia), buty à la walonki zakrólowały w dawnych salonach Baty Ltd. (Nie to, żeby mnie chwytala nostalgia.) Faktem jest, że od czasu do czasu pojawia się i towar bardziej atrakcyjny; odróżnia się on jednak tak jaskrawo od masy pozostałych „codziennych dóbr sprzedażnych”, że nie ma potrzeby go reklamować, gdyż i tak „sam z siebie”, znika z półek (częście jeszcze spod lady) w mgnieniu oka.

Ongiś w takiej sytuacji, a raczej dla jej „ratowania”, wytaczano argumenty najcięższe; sięgano do klasyków, nadmienając gęsto o braku zgodności między naszymi zasadami ustrojowymi a reklamą jako taką w ogóle. Jak to u nas we zwyczajach, podzielono w ten sposób po raz kolejny świat na blondynów i fryzjerów czy też wylano dziecko z kąpielą — że pozostaną przy najmniej wyszukanych porzekadłach.

Nie zamierzam w żadnym razie krytykować faktu, iż publicystyka naszego obszaru, podobnie jak obszar drugiego, zawsze ostro atakowała i atakuje przerosł reklamę, dla reklamy, jako zjawisko swoistego prania mózgow, ucierkowania i ujednolicenia powszechnego poczucia smaku, ograniczenia naturalnego ludzkiego prawa do indywidualnego wyboru itd. Ostrą krytyką obkłada się przede wszystkim (i słusznie) owe głupawe, lukrowane scenki zachwyszczające na Zachodzie telewizyjny czas anteny, a także rozbudowanie reklamy do rozmiarów dyktatora ludzkich zachowań i reakcji. Całe to zjawisko, które doczekało się już zresztą wielu opracowań socjologicznych, nie ma jednak nic wspólnego z oczywistą potrzebą zachwalania towarów jako integralnej części procesu kupna — sprzedaży.

Kamuflując niegdysiejsze ataki na reklamę, zastosowano u nas wysycający parawan w postaci rzucanego tu i ówdzie hasła: „Reklama jest dźwignią handlu”, co wprędce nabrało równej nośności leksykalnej jak powiedzonko: „Cukier krzepi”. Nie wiem, czy projektodawca odkrycia o „dźwigni” zarobił tyle co Wańkiewicz na „krzepieniu cukrem”, mam jednak poważne

co do tego wątpliwości, jako że w owym czasie handel otwarcie już przyznawał, iż nie jest od zarabiania. Ostatecznie reklama jako normalne zjawisko przestała w Polsce istnieć i gdyby nawet nie było powodów do goryczy, to faktem także bezspornym jest iż przydałoby się naszym ulicom coś więcej niż powykrzywiany napis: „Szewc” czy wyblakły cd wieloletniej służby, wyświechtany transparent. Oczywiście zachowaliśmy sobie, jak zwykle, pewien margines bezpieczeństwa. Tam, gdzie w grę wchodził naprawdę duży szmal i zysak, o propagandę towaru dbano głośno; i tak ostały się (w kraju) zachwalanki Totalizatora Sportowego czy (za granicą) reklama „Wyborowej” jako półminutowa wstawka za tysiąc dolarów (potrzeba dostosowania się do wymogów tamtejszego rynku).

Wszystkie kolejne poważne drgnięcia w omawianej dziedzinie przychodziły głównie z napływem jakiegoś towaru-symbolu, produktu uosabiającego burżuazyjne ciągotki i pragnienia (vide: pojawienie się Króla, czyli Coca-cola to jest to). Nurt rodzimy pozostawał raczej na pozycjach niewzruszonych i jedynie PZU zaczął się w pewnym czasie upierać przy reklamie, co było zabawne, choć ekonomicznie uzasadnione (ulożenie w czymś nadwyżki zysków, by jej potem nie „obcieto”); zabawne oczywiście dlatego, że PZU to monopolista w dziedzinie ubezpieczeń z których duża część jest ponadto obligatoryjna.

Zbierając zatem uwagi powyższe, można by zamknąć akapit stwierdzeniem, że nastąpiła u nas na długo noc bezreklamowości (choć ostatnio się okazuje, że nie tak całkiem, ale o tym później).

Przyczyny owego stanu rzeczy są ogólnie znane i gdyby nie kryzys w gospodarce, nadal jeszcze skłonni byłibyśmy twierdzić, że konkurencją i zyskiem powinni zwracać sobie głowę wyłącznie pazerni kapitaliści, my zaś radujmy się tym, że wszystko w ogóle jakoś tam się kręci. Neonów więcej na ulicach naszych miast nie zapłonęło, reklamy garniturów także się nie dopatrzyłem, pojawiło się natomiast nowe jakościowo zjawisko, a mianowicie reklama telewizyjna typu zachodniego w nie najlepszym stylu. Jej eksplozja była chyba rzeczą nieterudną do przewidzenia, gdyż pojawiły się przecież na krajowym rynku spółki kapitalistyczne, dla lepszego samopoczucia zwane polonijnymi.

Od tej pory na małym ekranie zadomowili

się, w przerwach między dziennikami, mniej lub bardziej atrakcyjne dziewczyny (po prawdzie to częściej bardziej) z fiolkami Battervitu, pudelkami Prusakolepu i nareczkami bransoletek Thompsona w i na dłoniach. Autostradami pomykają kaskaderzy, szarując co i rusz po betonie oponami wypełnionymi Tacosem, a labędzie kobiece szyje pokrywają się kropelkami psianych perfum i dezodorantów. Znosiliśmy to wszystko mężnie (na ładne zawsze miło nawet popatrzeć) do chwili, gdy... O, właśnie. Gdy reklamowy boom ogarnął i rodzimą produkcję. Wzorce szybko podchwyciono (Polak jeszcze potrafi) i zaczęły tryskać nam w oczy wystrzelwane z karabinków gąbki do zmywania naczyń, mamiące olśniewające oferty zatrudnienia w FSM w Bielsku-Białej, a na dodatek znów krajowcy-cwanialcy zachęcają nas do ubezpieczeń.

To przejście z jednej skrajności w drugą, ta ersatz-reklama, zostałyby zapewne nie zauważone, gdyby nie dwa grube faux pas: „Zibi” ze swoimi aparatami Mawi i herbatka Paracelsus. To, że Pewex musi istnieć i się rozrastać, już nam długo tłumaczono, i niech tam, ale czy musi zaraz drażnić? A „Zibi”? To odrębny problem. Naród jednak zadrażlił: żeby na naszych oczach i pod naszym bokiem „Zibi” tiukł jeszcze dodatkowy szmal w supertwardej walucie! Tak oto reklama zadała sobie w oczach telewidzów cios moralny ostateczny.

Ja tymczasem naiwnie czekam, aż nasze ulice nabiorą barwy, dyskretnego uroku, estetycznego wystroju i wielorakości handlowych ofert. Wiem, że reklama istnieje tam, gdzie jest konkurencyjność, że nie klóci się nie tylko z ideologią socjalistyczną, ale nawet ze zdrowym rozsądkiem. Trzeba tylko mieć co sprzedawać i umieć to robić. Czy się doczekam?

A propos. Jest w USA głośna obecnie i taka sprawa. Yul Brynner, znany hollywoodzki aktor, który zmarł niedawno na raka płuc, będąc już świadomym bliskiego końca i odgadując jego przyczynę (wieloletnie nadużywanie tytoniu), nakręcił krótki telewizyjny clip, który zaczęto emitować tuż po śmierci aktora. Wyłąpnia się on na ekranie z obłoków błękitnego dymu, pozdrawia widownię uniesieniem ręki i mówi: „Cześć. Już mnie nie ma. Odszedłem, bo paliłem” i znika w sinoszarej mgie. To a propos zadumania nad reklamą z TV.

Ja także palę.

Henryk Więclawski

NJEDEN z sejmikowych wieczorów w Tarnogrodzie muzyczka „ludowa” przycinała ostro. W zatłoczonej sali domu kultury, gdzie tańczono raz po raz, to z góralską, to z kaszubską, a wódka przelewała się cicho po kątach, stałam w ciżbie, w ścisłu i płałało mi się dziwnie po głowie to zdanie z Wyspiańskiego: „panowie się nudzą sami, to się pięknie bawim z nami”.

Tego wieczora pawioptórnym bałamuceniom się na chłopski, wsiowy ton nie było końca. Ale nie było też żadnych tam „wyście sobie i my sobie”. Wszyscy z zapałem śpiewali wraz z Kapelą Tarnogrodzką przezabawną pioseneczkę:

Wiecie, co wam powiem,
chłopcy i dziewczęta,
w Tarnogrodzie chłopiec
wysiedział kurczęta...

Sześcioletnia Waleria Nitychoruk z Wójcickiej w Białopodlaskim rażno i zamiętala wygrywała na bębnie „Polkę rach ciach ciach” albo śpiewała: „Więc pocałuj mnie jeszcze raz, jeszcze raz...”. I rzeczywiście została obcalowana powielekroć przez chłopców i panów z różnych zespołów, a także dyrektora Teatru Wsi Polskiej, scenografa Marcina Jarnuszkiewicza i nie pamiętam kogo jeszcze. Waleria Nitychoruk była bezsprzecznie niepowtarzalną osobowością III Ogólnopolskiego Sejmiku Teatrów Wsi Polskiej. Kierowany przez nią zespół przedstawił widowisko obrzędowe „Korowaj podlaski”, które zostało uznane za szczególnie zjawisko tegorocznego sejmiku.

Ten teatr istnieje i pracuje właściwie jakby sam dla siebie. Nie mając sali, zbiera się w prywatnych domach, tam przygotowuje i prezentuje swoje widowiska. Ich przepiękny, bardzo sprawnie zagrany spektakl przedstawił podlański zwyczaj pieczenia weselnego placka — korowaja (który dostał się zresztą jednej z dziennikarek i jedliśmy go przez całą noc) i towarzyszące temu obrzędowi rozmaite śpiewania, taneczne chodzenia, gwarowe opowieści, przesłiczne nutki i nuteczki rzewne i radosne.

Zespół tworzą w dużej mierze niemiłode już kobiety, które potrafią doskonale nawiązywać kontakt z widownią, mają wyczuć sceny i teatralnej konstrukcji widowiska. Pokazują żywiołowość i poezję wiejskiej chaty, nie mającą nic wspólnego z cepeliadą. Nie naruszają autentyczności obrzędu, potrafią również nabywać teatralność. W innych widowiskach brakowało czasami tego wyważenia pomiędzy obrzędową autentycznością i teatralnością.

Zespół Ludowy „Podwodziacy” z Dzierżkowic Podwodów (woj. lubelskie) przedstawił teatralizację obrzędu „Szczodraki” — wypiekanie specjalnych ciast na święto Trzech Króli. Współistnieją tu doskonale dowcipne powiedzenia, stare koledy i dostojne pieśni obok przyszypek typu: „W ty chałupce są tam same golodupce. Same nic nie mają i nam nie nie dają”. Znac w tym widowisku rozumienie scenicznego czasu, umiejętność konstrukcji rozmów, kompozycji obrazów, a także duże wyczuwanie w zakresie rozróżniania stroju — domowego i koledniczego.

„W Tarnogrodzie chłopiec wysiedział kurczęta...”

W takich widowiskach można już szukać praw przede wszystkim teatralnych, nie tylko obyczajowych, etnograficznych, folklorystycznych. Zresztą celem tych przedstawień nie jest przecież dokumentacja obrzędu. Choć etnografowie i folklorysty twierdzą czasem, że teatr obrzędowy istnieje, aby przenieść tradycję. Same zespoły, ich twórcy także w jakimś sensie pragną, aby w tworzonym przez nich teatrze trwały ich wiejskie tradycje. Ale czują również konieczność twórczego stosunku do folkloru, kultury ludowej, tradycji.

Może najbardziej zaznacza się to w działaniach wiejskich teatrów z regionu północnej i zachodniej Polski, z województw legnickiego, koszalińskiego, gdańskiego, jeleniogórskiego. Ich widowiska obrzędowe, czy stylizowane na obrzędowe, pokazują mieszaninę strojów i zwyczajów, rozmaite odmiany gwar, jak choćby „Wesele” zespołu ludowego z Rusinowa w województwie koszalińskim. Teatr celowo zaznacza w przedstawieniach ową różnorodność i niejednorodność swojego regionu, zamieszkiwanego przez ludność napływową. W tworzonych widowiskach współistnieją obok siebie rozmaite tradycje, które przysły z ludźmi, prezentowane są autentyczne narzędzia, sprzęt, stroje, które ocalały, przywiezione z różnych stron, z kieleckiego, rzeszowskiego, lubelskiego. Więć folklor pomieszany z rozmaitymi przejawami kultury masowej, stroje na zasadzie: „com ta miot”, wydają się czymś oczywistym. Kierowniczka zespołu z koszalińskiego powiada:

— My właściwie dopiero tworzymy region, z rozmaitych tradycji, jakie każdy z nas na te ziemie przywiózł.

Podobna różnorodność, szczególnie w zakresie pieśni, tańców, panowała w widowisku „Jakubowski pierzajki”, z województwa legnickiego, doskonale żywiołowo wyspiewanym i wytańczonym na nuty podlaskie, góralskie, rzeszowskie. Pełnym dowcipów i powiedzonek również takich, co mają zasięg ogólnopolski: „Jak chłop baby nie bije, to w ni wtrąba gnije”.

W sejmikowych pokazach dominował teatr obrzędowy. Zabrakło niektórych form: teatru poezji, plastyki, ruchu. Były natomiast prezentacje prób czy początków w zakresie teatru — nazwijmy to tak umownie — literackiego, opartego na tekstach, niestety, niewysokiej rangi. Teatry wiejskie — okazuje się — wyciągają czasem teksty w stylu anacyzowskiego „teatru dla ludu”, niedobre literacko i najkrócej mówiąc: głupawe, jak choćby „Wilk syty i koza cała”, naiwna, pseudoludowa sztuczka Janiny Skowrońskiej-Feldmanowej, prezentowana przez teatr amatorski z Kłębowa (woj.

siedleckie). Istotna wydaje się w wiejskim teatrze potrzeba troski o literacką wartość repertuaru. Podobno w tym zakresie powinny służyć pomocą wojewódzkie domy kultury, pracujący w nich inżynierzy teatralni — tak przynajmniej twierdzi Lech Sliwonik, prezes ZG Towarzystwa Kultury Teatralnej. Ale efekty tej pomocy dla wiejskich teatrów bywają często żadne, a niekiedy — co gorsza — rozpacze.

Problem jakości i wartości tekstów scenicznych pojawia się również przy okazji wiejskich kabaretów, które układają programy z własnych w dużej mierze i zasłyszanych tekstów, np. Ofierskiego. Nie zawsze miewają wyczuć wagi i rangi przedstawianych problemów, szczególnie w zakresie formy. Choć był w Tarnogrodzie kabaret „Zgaga II” z nowosądeckiego, tworzony przez młodych ludzi, mających dużą swobodę bycia na scenie, śpiewania. Przekazują własne teksty, dobrze skonstruowane, podejmujące istotne problemy współczesnego życia.

— My to robimy teatr prawdziwy, tak jak jest w obrzędach — powiedziała mi jedna z kobiet z Teatru Folklorystycznego z Podlasia. Ten teatr „prawdziwy” współczesnej wsi, zrodzony z obrzędu, pozostaje wciąż chyba bliski ideom teatru ludowego Jędrzeja Cierniaka. Noszą w sobie cechy pewnej oświeceniowości, jak wszelkie ustalone zwyczajem uroczyste obrzędy wiejskie. W obrzędzie szuka oryginalnego wyrazu artystycznego dla wyrażenia istotnych problemów ludzkich, spraw nurtujących środowisko wiejskie. Staje się w jakiejś mierze syntezą życia wsi, bo jest tu zawarta i pieśń, i muzyka, i taniec, obyczaj, legenda, kultura życia w wiejskiej społeczności i pewna postawa wobec świata, związana z przyrodą i jej prawami.

Teatr obrzędowy, będący realizacją inscenizowanych obrzędów, związanych z rokiem słonecznym, z kalendarzem religijnym, z życiem rodzinnym i pracą, bywa na ogół teatrem twórczym, dąży do samodzielnego pomysłowości jeśli nie treściowych, to przynajmniej konstrukcyjnych. Wobec nieuchronnego zamierania tradycyjnej kultury ludowej (wiedź z niej wyrasta) tworzenie obrzędowego teatru, wszystkie te śpiewania, przygrywania, tańczenia na chłopską nutę, mają chyba naprawdę sens.

L. W.

Leczenie sugestią?

Homeopatia, akupunktura, zielarstwo, bioenergoterapia, kręgarstwo... te „inne”, niekonwencjonalne metody leczenia mają wielu zwolenników. Co myśleć o tego rodzaju medycynie, a także o potrzebach ludzkich, jakie zaspokajają? Francuski tygodnik „Le Point” podjął próbę odpowiedzi na to pytanie. Materiał podajemy w skrócie i częściowym omówieniu.

MLODY, 35-letni lekarz psychiatra z Lyonu Jean-Jacques Aulas, który pasjonuje się homeopatią i farmakologią, przy współpracy trzech jeszcze specjalistów — dwóch farmaceutów i lekarza — wydał ostatnio we Francji obszerny dzieło o homeopatii. Książka ta, będąca owocem iście benedyktyńskiej pracy wzbudziła tyleż zachwytów wśród wielu wybitnych farmakologów, ile gniewu w środowisku lekarzy homeopatów. Dlaczego? Dlatego, że autorzy, dając najpierw historyczny opis tej znanej od prawie 200 lat terapii i wspierając się na bardzo obszernym materiale bibliograficznym, analizują następnie cały zespół nagromadzonych na świecie doświadczeń homeopatycznych, badając je skrupulatnie, a wszystko to pod kątem ich naukowej oceny. Wniosek ogólny? Tak naprawdę, to żaden. Aulas pozostawia sprawę otwartą dyskusyjną. Ten zagorzały homeopata jest prawdziwym Janusem o dwóch obliczach, bowiem ośmiela się postawić pod znakiem zapytania swoją własną osobę, istotę pomysłowych efektów stosowanej przez siebie terapii, a poprzez te wszystkie kwestie — nie tylko sama homeopatie, lecz także wszelkie rodzaje tej „innej” medycyny, zwanej też naturalną, alternatywną, równoległą, niekonwencjonalną, nieortodoksyjną itp., ku której ludzie zwracają się z umiłowaniem tak bardzo przybierającym na sile ostatnimi laty, że staje się to zjawiskiem społecznym o dużym zasięgu.

Jean-Jacques Aulas to człowiek o światłym umyśle i dlatego właśnie nie zaznaje spokoju. „Zadaje sobie pytanie — pisze — czy jestem hipersugestywnym placebo-terapeutą (placebo — substancja idealnie neutralna, nieaktywna, mająca postać rzeczywistego leku i tak też podawana — przwo. red.), czy też wyleczenie przeze mnie pacjenta jest naprawdę specyficznym efektem działania instrumentu, którym się posługuje, czyli leków homeopatycznych? Jeżeli skuteczny jest sam instrument, to znaczy, że na organizm działa może tajemniczy ślad czegoś, co nie istnieje: według stopnia rozcieńczenia środka homeopatycznego, szansa na to, że piguleczka zawiera jedyną choćby molekułę substancji farmakologicznej może być jedną na miliard lub nawet na miliard miliardów...”. A tymczasem dr. Aulasowi często udaje się wyleczyć pacjenta. „Wszyscy są zadowoleni — pisze — a ja najbardziej. Czyż nie prościej byłoby więc przestać na tym? Uwaga: dr. Aulas nie rości sobie pretensji do wyleczenia każdego pacjenta kropelkami i pigułkami. Jest lekarzem z prawdziwego zdarzenia. Nie kwestionuje nic z tego, czego nauczono go na studiach, nawet jeśli równocześnie szuka poza uczelnia inicjacji do odmiennego traktowania pewnych chorób. Nie ma mowy o kurowaniu środkami homeopatycznymi — w każdym razie samymi tylko takimi środkami — grzyficzy, zawału, kolki nerkowej, nowotworu czy ciężkiej psychozy. Domeną homeopatii są przede wszystkim zaburzenia czynnościowe.

Te dwa słowa to zaledwie wierzchołek góry lodowej, której istnienia nie mogli przewidzieć prof. Abrami, gdy w 1938 r. pierwszy zdefiniował zaburzenie czynnościowe, uznając je za „zjawisko patologiczne w obrębie pewnej czynności, nie uzasadnione żadnym uszkodzeniem organu, będącego siedliskiem tej czynności”. Od tego czasu jako „czynnościowców” określa się chorych, którzy uskarżają się bez „istotnej przyczyny”, co w podtekście oznacza, że cały problem kryje się w głowie. Chorzy mają dolegliwości, zaś żadne badania niczego nie wykazują, zaś leczenie bardzo często nie daje efektów, bądź też, jeśli uda się załagnąć migrenę czy „atak wątrobowy” u takiego pacjenta powracają one okresowo, a stopniowo zaczynają się pojawiać też palpacje, zadyszka, bóle w plecach, bezsenność, powtarzające się infekcje, nadciśnienie tętnicze lub wrzody żołądka. W tych ostatnich przypadkach mamy więc do czynienia z najprawdopodobniej schorzeniami o pochodzeniu bakteryjnym lub organicznym (bardzo często jednak związane ze stresem).

„Tego rodzaju chorzy stawiają pod znakiem zapytania całą medycynę” — powiada dr. Michel Sapir, psychiatra, jeden z twórców i propagatorów metody leczenia zaburzeń psychosomatycznych przy pomocy relaksu. Psychosomatyczny — oto modne, wylansowane niedawno słowo. Praktykujący homeopatię lub też innego rodzaju niekonwencjonalne metody leczenia mówią o całościowym traktowaniu człowieka, o braniu pod uwagę całego organizmu każdego pacjenta. Natomiast w świecie najbardziej zaawansowanych badań z zakresu neurobiologii zastanawiają się obecnie nad współzależnością między emocjami a odpornością. Jest nadzieja, iż nadejdzie dzień, gdy stanie się zrozumiałe; jakie mechanizmy, jaka gra hormonów mózgowych sprawiają, że stan psychiczny może leżeć u podłoża nie tylko zaburzeń czynnościowych, lecz także najprawdopodobniej chorób organicznych oraz osłabienia obrony organizmu przed infekcjami. Tym samym zrozumieli się wówczas stan mechanizm pewnych sposobów uzdrawiania, dziś jeszcze nie wyjaśnionych.

„Trząść się ze strachu”, mieć „podcięte nogi”, „ściśnięty żołądek”, serce, które „podchodzi do gardła” — wiele jest takich wyrażań, mających w sobie być może coś z folkloru, lecz bynajmniej nie absurdalnych. To prawda, że strach może zamienić człowieka w słup soli, może też spowodować natchmiastowe opróżnienie jelit lub pęcherza moczowego, a nawet błyskawiczne posywienie włosów. To prawda, że można się spocić z przerażenia, że silna emocja szalenie przyspiesza bicie serca lub też je wstrzymuje, powoduje gwałtowny spadek ciśnienia, zapiera dech w piersiach. To prawda, że niepokoję, kłopoty, troski odbierają a. pęty. Przyjemne doznanie, lecz także onieśmielenie wywołują rumieniec na twarzy. Gdy moment emocji mija, wszystko powraca do normy, ciało się uspokaja... Doraźne reakcje ciała na stres to jednak drobniostka w porównaniu z niezliczonymi zaburzeniami czynnościowymi o charakterze trwałym, czy też z rzeczywistymi chorobami, spowodowanymi niekiedy przez jakiś jeden wstrząs, niekiedy zaś przez długotrwałe napięcie emocjonalne, a nawet przez mniej sprecyzowany stan złego samopoczucia i częstokroć nieświadomego niezadowolenia. Mało jest takich chorób, w których nie wykryto by wpływu, niekiedy wręcz dominującego, czynników psychicznych.

Jako przykład może posłużyć astma, przed którą czasami leczona systematycznie do chorób alergicznych. Tymczasem w bardzo wielu przypadkach nie można wykryć żadnego alergenu (substancji uczulającej — przyp. red.), co powoduje nieskuteczność wszelkiego rodzaju kuracji odczulających. Natomiast u dzieci prawie zawsze pierwsze ataki astmy pojawiają się pod wpływem lęku lub innej silnej emocji. Od czasu gdy wynaleziono metody dynamicznego badania ciśnienia tętniczego (badanie ciśnień, które ujawnia zmiany zachodzące w następnym momencie stresu i odprężenia) skonstatowano, że w pewnych przypadkach nadciśnienie ma podłoże „nerwowe”. Takie podłoże mają również niektóre bóle reumatyczne, bolesne miesiączki u dziewcząt, a niekiedy nawet bezpłodność u kobiet. Bynajmniej nie do wyjątków należą przypadki, gdy kobieta uznana za bezpłodną zachodzi w ciążę wkrótce po zaadoptowaniu dziecka — najprawdopodobniej dzięki temu, że ustaje wówczas lęk przed ciążą, bądź nieujawniona obawa przed podjęciem się roli matki. Występujące bez przyczyn organicznych uporczywe wymioty u oseska uznawane są za następstwo napięć lekowych u matki; podobnie ma się sprawa z ciążymi biegunkami czy brakiem laktacji. Bardzo często podłoże psychosomatyczne mają też różne choroby skóry: pokrzywki, egzema, trądzik, liszaje, liszenia plackowate, brodawki, opryszczka itp. Sceptycy powiedzą, że klasyfikowanie etykietą „psy” tego, co nie poddaje się dostępnym dziś technikom badawczym, czy też kładzenie na karb tajemniczej biologii mózgu tego, że słabnie obronność organizmu, jest po prostu półślesiem na łatwiznę...

Słynny Trousseau przed 150 laty pierwszy aplikował pacjentom substancje całkowicie nieaktywne, tak jednak, by wierzyli oni, że są to leki. Pierwszy też dotknął porównania skutków leczenia przy użyciu tego, co sto lat później otrzymało miano placebo; ze skutkami podawania rzeczywistych leków, aplikowanych pod identyczną postacią. Dokonał odkrycia: skuteczność kuracji uzależniona jest od tego, jak mocno wierzą w nią i chorzy, i lekarz. Oto opowieść współczesnego lekarza, dra Jacquesa Moniera: „Kiedy byłem młodym lekarzem w pewnym normandzkim mieście, mieliśmy wśród nas dermatologa, który zasłynął swymi sukcesami w leczeniu różnego rodzaju schorzeń skórnych. Leczył je słabymi dawkami promieni X. Kierowałem do niego swoich pacjentów. Uzdrawiał ich fantastycznie szybko, w 9 przypadkach na 10. Pewnego dnia zacząłem rozmowę na ten temat z kolegami — dermatologami w szpitalu Saint-Louis. Znamy tę sprawę — powiedzieli mi — sami próbowaliśmy tak leczyć, jednak bez żadnych wyników. Najwidoczniej w tym przypadku mamy do czynienia z sugestią”. Dr Monier nadal kierował swych pacjentów do owego dermatologa, lecz od tego momentu wyleczony był tylko co czwarty, nie zaś jak poprzednio 90 proc. Jak to wyjaśnić? Najprawdopodobniej — mówi dr Monier — „efekt psy” zależny był również ode mnie. Nieświadomie zapewne nie wkładałem już takiego samego przekonania w zapewnienie pacjenta, że zostanie wyleczony.



Rys. Zbigniew Cieniuch

„Efekt placebo” stał się niezmiernie ważnym czynnikiem, uwzględnianym przez medycynę naukową. We Francji nie dopuszcza się do obłędu lekarstwa, jeśli nie zostanie udowodnione, iż jest ono skuteczniejsze niż placebo. Co więcej, próby kliniczne muszą być prowadzone podwójnie ślepa metodą: sam lekarz nie wie, którzy z jego pacjentów otrzymali lek, a którzy placebo. Zupełnie inny sposób ustala zaszyfrowany kod, zaś klucz do szyfru udostępniany jest dopiero po zakończeniu prób. Niekiedy do eksperymentalnego sprawdzania wprowadza się jeszcze inne komplikacje. Jeśli wierzyć laureatowi Nagrody Nobla, Linusowi Paulingowi, witamina C miała być panaceum, zapobiegającym katarom, grypie i innym chorobom infekcyjnym. Ośmielono się poddać w wątpliwość to twierdzenie,

i ustalono, że osoby, które otrzymały placebo wierząc, iż jest to witamina C, były mniej zakatarzone niż osoby zażywające naprawdę witaminę C, lecz przekonane, że dostają placebo. Pewna grupa studentów otrzymała „kapsułki z nowym środkiem bodźcowym” do wypróbowania na próbie laboratoryjnej. Więcej niż 1/3 zawyrokowała, że jest to wspaniały środek, który podważa sprawność umysłu. Tymczasem w rzeczywistości była to próba doświadczenia, sprawdzająca „efekt placebo”. Eksperymenty przy użyciu podwójnie ślepej metody nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości; nawet cukrzyca, nawet dusznica bolesna, nawet poziom cholesterolu mogą reagować na placebo.

„Efekt placebo” może występować także przy niektórych interwencjach chirurgicznych. W latach pięćdziesiątych w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie zapanowała moda na pewną operację (podwiązanie jednej z arterii) przeprowadzaną w przypadkach duszniczy bolesnej. Podawano, że po takiej operacji poprawia się stan 34—61 procent chorych. Odnosząc się do tego sceptycznie, zespół chirurgów dra Dimonda przeprowadził doświadczenia na grupie pacjentów przekonanych, że poddani zostaną barzo skutecznej operacji. W rzeczywistości operacje były symulowane: przecięcie skóry pod lekką narkozą. Wynik: w grupie tej poprawa stanu była tak samo wyraźna i trwała tak samo długo w identycznych proporcjach. W efekcie zarzucono tę technikę leczenia duszniczy.

Średnio biorąc, podatnych na „efekt placebo” jest 35 proc. ludzi. Jednakże w zależności od rodzaju schorzenia odsetek ten może być znacznie wyższy i sięgać aż 50, a niekiedy 60—70 proc. „Nawet jeśli chodzi o nowotwory złośliwe — pisze Gabriel Gachelin z Instytutu Pasteura — coraz częściej w publikacjach naukowych uznaje się za prawdopodobne, iż czynniki psychologiczne odgrywają rolę w rozwoju guzów”. Przykład: badania przeprowadzone w King's College w Cambridge sugerują, że reakcja kobiety na wiadomość o raku gruczołu piersiowego pozwala z dość dużą dokładnością przewidzieć sytuację na najbliższych pięć lat: najbardziej wstrząśnięta ma statystycznie najmniejsze szanse wyleczenia. Potwierdza to prof. Pierre Denoix ze słynnego Centrum Antyrakowego w Villejuif: „Jest możliwe, że zjawisko to daje się po części przypisać aktywnej (wola obrony) lub biernej postawie pacjenta wobec choroby”.

„Czy naprawdę można mówić o „efekcie psy” w przypadku jednego z najbardziej spektakularnych sukcesów homeopatii, jakim jest leczenie powtarzającego się ropnego zapalenia ucha u dzieci? — pyta dr Philippe Picard, jeden z najaktywniejszych propagatorów ruchu homeopatycznego. — Wielu laryngologów i pediatrów, zmuszonych wykonywać co roku u tego samego dziecka 12—18 punkcji, kieruje takie dzieci do nas, i krzywa idzie w dół: zapalenie ucha występuje coraz rzadziej później już tylko dwa razy do roku, a wreszcie przestaje się pojawiać”. Homeopaci nie leczą ostrych przypadków — wyjaśnia dalej dr Picard, lecz wzmacniają odporność organizmu, osłabiając to przez stosowanie różnych substancji, w różnym stopniu rozcieńczenia, w zależności od indywidualnych właściwości pacjenta, od okoliczności i sposobu występowania określonej patologii, od wielu oznak specyficznych dla danego chorego. Jednakże ten sam lekarz nie wyklucza, że dobre wyniki w homeopatycznym leczeniu przypadków moczenia nocnego u dzieci mogą mieć związek z „efektem psy” wywołanym na matkę, chociaż nie mówi wprost, że to schorzenie jest z reguły przejawem złego funkcjonowania komunikacji matka — dziecko, bądź też reakcją na wydarzenia zmieniające klimat życia dziecka.

Homeopata ma zupełnie szczególne podejście do pacjenta, słucha bez pośpiechu, sterując rozmową w kierunku uzyskania szczegółów, które pozornie nie mają nic wspólnego z dolegliwościami. Jest to całkowita odwrotność tego, z czym najczęściej spotykamy się u „zwykłego” lekarza, który zajmuje się naszymi oskarżeniami, naszym żołądkiem, naszym trzecim już w tym roku cyrakiem, nie zadając ani sobie, ani nam pytań dotyczących całej naszej osoby, małych lub wielkich problemów naszej egzystencji. Wspomniawszy na początku dr. Aulas, nurtowany pytaniami, podjął się w sposób jak najściślej obiektywny przestudiowania niedzielnego doświadczenia homeopatycznego. Wiele z nich dało wynik negatywny, nawet zdaniem samych ich autorów. W przypadku innych, przedstawianych jako niezłomnie pozytywne, dr. Aulas ujawnia uchybienia, mogąc, które musiałyby być dotrzymane, aby dodatni rezultat mógł zostać uznany za coś innego niż tylko zwykły przypadek. Są jednak i takie, które dr. Aulas uznaje za bardzo interesujące i znaczące, za każdym razem dodając wskazanie, iż wyniki powinny zostać jeszcze potwierdzone przez inny zespół — co jest regułą, aby doświadczenie o charakterze naukowym mogło zostać uznane za naprawdę wiarygodne.

A więc „efekt placebo”, czy też rzeczywista skuteczność? To samo pytanie dotyczy nie tylko homeopatii, lecz także akupunktury (i innych metod nakładania np. maźlowiny usznej), a może też dalszych odmian „innej”

medycyny... We Francji naliczono ich około 60, a stosowane są czasem przez lekarzy, lecz najczęściej przez osoby z wykształceniem bynajmniej nie medycznym, za to głęboko przekonane, że są dobroczyńcami ludzkości i posiadają znajomość jedynej prawdy. Są też najwykłej szarlatanami. Co sędzi o takich technikach leczenia, jak gemoterapia wylansowana przez niejakiego Pola Henry, który przy pomocy wahadełka radiestetycznego ustalił właściwości lecznicze paczków roślinnych? Czy też o litoterapii (leczenie minerałami), która zawdzięcza dwóm autorom, porównującym embriion ludzki do struktury geologicznej kuli ziemskiej? Łaskocze się nam dziurki od nosa bądź też poduszki stóp (naukowe nazwy: nasosympathicotapia i pedorefleksologia). Ręce kręgarzy, manipulujących naszym stołem pacierzowym, mają nas wyleczyć z wszelkich chorób, jakie tylko są znane od stworzenia świata... Między praktykującymi te techniki paramedyczne toczą się zajadle wojny. Homeopaci, akupunkturzyści, zielarze itp. chętnie pożarliby się nawzajem...

W 1982 r., ku wielkiemu oburzeniu sporej liczby „białych fartuchów”, dziekan wydziału medycyny eksperymentalnej w Bobigny utworzył na tym wydziale poddyplomowe studium niekonwencjonalnych technik medycznych. Po trzech latach nauki absolwenci studium otrzymują oficjalny dyplom uniwersytecki z zakresu „medycyny naturalnej”. Na studium wykładane są takie dyscypliny, jak: homeopatia, akupunktura, aurikuloterapia (nakłuwanie małżowiny usznej), naturoterapia, mezoterapia i inne, przy czym wykładowcami bynajmniej nie zawsze są lekarze. Na studium zgłosiło się już ponad 1300 młodych lekarzy. Jest to jeszcze jedna z przyczyn, dla których władze publiczne muszą się jakoś ustosunkować do występującego coraz wyraźniej zjawiska. Tym zjawiskiem jest „zamówienie społeczne” na tę inną, niekonwencjonalną medycynę. Od paru lat we Francji mnożą się więc komisje i raporty w tej sprawie, lecz na razie żadnego oficjalnego stanowiska jeszcze nie zajęto.

Medycyna konwencjonalna została wzięta w dwa ognie. Lekarze przeprowadzają rachunek sumienia. Niektórzy przyznają, że nie są tak zupełnie bez winy, jeśli chodzi o to społeczne zamówienie na owo „coś innego”. Medycyna naukowa, która ratuje tylu ludzi i której po większej części zawdzięczać należy znaczny wzrost przeciętnej długości życia, odhumanizowała stosunki między lekarzem a chorym. Według sondażu opinii, przeprowadzonego niedawno na zamówienie pewnego czasopisma zawodowego, 75 proc lekarzy ogólnych jest zdania, że zaznajomienie się z niekonwencjonalnymi terapiami stanowiłoby niewątpliwie plus dla ich praktyki. Równocześnie jednak zdecydowana większość domaga się naukowych dowodów skuteczności „innych” technik. A jeśli nawet okazałoby się, że jest to wyłącznie „efekt placebo”? „Podawać placebo, to znaczy nie podawać nic” — mówią jedni... „Jakież znaczenie ma pozorna absurdalność doktryny, jeżeli jest ona skuteczna i nieszkodliwa” — powiadają inni.

Nieszkodliwa — to właśnie jest najważniejsze. Niebezpieczeństwem, i to niekiedy kolosalnym, zagraża zwracanie się do pseudolekarzy lub wręcz szarlatanów, którzy nie potrafią rozpoznać naprawdę ciężkiego schorzenia, możliwości do wyleczenia (i to nie zawsze) jedynie metodami medycyny naukowej. Bądź też do takich zdeklarowanych złoczyńców, którzy zabraniają kategorię swoimi „pacjentom” zaniechania pomocy lekarzy. „Uciekanie się pod opiekę tajemniczych sił istniało zawsze, we wszystkich cywilizacjach — mówi psychiatra, prof. Edouard Zarifian. — Być może nasz świat, wstrząsany niestęchanie szybkim rozwojem nauki, od informatyki do kosmonautyki, poprzez zapanowanie nad prokreacją, stał się tak lekotwórczy, że sprzyja to powrotowi zapotrzebowania na coś irracjonalnego: granulki, napar ziołowy, smarowidło, gest czy słowo odczuwane jako magiczne”.

Czy było złą robotą opublikowanie tych demistyfikujących rozważań, groźących zniszczeniem „efektu placebo”? — zapytuje na zakończenie artykułu, Madeleine Franck, i zaraz odpowiada: Nie jest to bynajmniej takie pewne. A oto dowód: chociaż wiadome mi było z najbardziej autoritatywnych źródeł, że nie ma żadnych naukowych dowodów działania tabletek „V-polivitamine” przeciw zmęczeniu umysłowemu, po dwóch dniach bezowocnego wysiadywania nad czystą kartką papieru, napisałam jednak ten materiał, tylko dzięki temu, iż na trzeci dzień zażyłam jednak te błogosławione tabletki!

W koło goło Wojtek...

Mirosław Zarzycki

GDY młodzież naturystyczna spod znaku studenckiej „Alma-Art” w Lublinie wystąpiła z inicjatywą zorganizowania w klubie Arcus wystawy fotograficznej (autorstwa Janusza Pawłowskiego i Marka Piwowarskiego) „Foto-Natura” z nagocią w roli głównej, gdy inicjatywa stała się ciałem w postaci kilkudziesięciu fotografiami z aktami kobiecymi (nie zawsze zresztą obliczonymi na gust bardziej wyrafinowany), i landszafkami (ilustrującymi życie organizacyjne naturystów — w głowach organizatorów i inicjatorów piętrzyły się obawy, że przedsięwzięciem tym wywołają niesmaczną sensację. Przewidywano, że może dojść — jak przed laty na krakowskiej „Wenus” — do zamalowywania lub kradzieży fotografów, że rozżaleniu mieszczanie rozstawia piśkiety przed siedzibą klubu (również fakt z Krakowa), że napłyną listy protestacyjne itd.

Mimo tych obaw naturyści zacierali ręce — że wywołają zainteresowanie tematem, organizatorzy — że zwabione sensacją, zbulwersowane tłumy walić będą drzwiami i oknami wzbogacając niezbyt pokąźną alma-artowską kieszę, jako iż wystawę zaprogramowano z pobieraniem przy wejściu 50-złotowego myta, skalkulowanego głównie z myślą o studentach.

Obawiano się jednak także i tego, że naciski tzw. ważnych osób mogą spowodować rychłe zdjęcie wystawy z afisza, jak stało się kilkanaście lat temu z wystawą aktu autorstwa jednego ze znaczących naówczas fotografików lubelskich który musiał zwinąć interes już trzeciego dnia.

Owe niewesołe prognozy podsycali opowiadki z życia lubelskich naturystów m.in. z Prawiednik, gdzie przed trzema laty biwakujących na prowizorycznej plaży naturystów przywitała okoliczna ludność z łopatami i kijami w rękach. Tymi „przekonywającymi” argumentami naklaniała ich do zniknięcia i niepokazywania się więcej.

Ta stosunkowo świeża scenka świetnie ilustruje obecny stan kontrowersyjności problemu, jakim jest nagość. I tu zaraz dodać można: jakim zawsze była i chyba długo jeszcze będzie. Najbardziej interesujące jest to, że problem ten w ogóle istnieje, że kiedyś powstał i trwa w nałensze. Coś w tym musi być, iż jedni od Bóg wie kiedy, z uporem i wytrwale lansują „absolutną nagość”, a drudzy z nie mniejszą konsekwencją i zaciętością ją zwalczają.

Bohaterowie owej scenki nie przypuszczali zapewne, że ma ona swoje, dalece w czasie odległe, anteriora. Ciekawą akcją, dziś powiedzielibyśmy: nudystyczną, przeżył Paryż w roku 1370, kiedy to grupy nagich mężczyźni i kobiet przemaszowały ulicami miasta, ażeby przed królem Karolem V zaprotestować przeciwko „powszechnemu przedławianiu każdego nagiego”. Przedtem bowiem potworzyły się chrześcijańskie „nagie sekty” (np. adamici), które posługę Bogu oddawały „w stanie naturalnym”.

W roku 1555 papież Paweł IV polecił przemalować malowidła z nagimi postaciami, co wywołało ostre protesty artystów, m.in. Michała Anioła. Inny papież, Pius IX, zgorzszony „nieczystymi” wizerunkami posągów, od których roilo się przecież w Rzymie, polecił osłonić „wstydlive miejsca” postaci listkami figowymi które sporządzono z cynku. Wszelakoż zdjęto je wkrótce, gdyż, poruszane wiatrem, wydawały przeraźliwe odgłosy, zakłócając spoczynek nocny również przeciwnikom stu procentowej nagości. Ów zarzut „nieczystości” wynikał z poglądu że nagle ciało, jako wodzące na pokuszenie, jest uosobieniem Zła i zasługuje na potępienie. Niejedna ówczesna właścicielka pięknego ciała musiała pożegnać się z życiem, zakwalifikowana jako czarownica i „siedlisko szatana”.

Podobny trick z listkami figowym powstrzymał się we Francji w 1884 r. „Strażnicy wszelkich cnót” zażądał w imieniu „urazzonego poczucia wstydu”,

ażeby w paryskim Luwrze zaopatrzyć w figowe listki około stu rzeźb. Działo się to raptem przed wiekiem. Owe listki figowe zostały rzeczywiście zainstalowane i dopiero wskutek gwałtownych protestów przywrócono statuum ich pierwotny wygląd.

„Urażone poczucie wstydu” było oddźwiękiem teorii, wedle której nagość jest sprzeczna z naturalnym, wrodzonym poczuciem wstydu, właściwym każdemu człowiekowi, a nawet (sic!), zwierzętom obdarzonym przez naturę różnymi możliwościami skrywania „wstydlivych” szczegółów anatomicznych. Pogląd ten, żywy także dziś, został zakwestionowany jeszcze w końcu ubiegłego stulecia przez badaczy kultur

no, ale trafiliśmy bez pudła w zapotrzebowanie — mówi przedstawiciel „Alma - Art”. — Bilety nawet pięć razy droższe, też by szły jak woda”.

Odpowiadając na to zapotrzebowanie, przedłużono wystawę o pięć dni („chcielibyśmy dłużej, ale w kolejce następna wystawa”) i rodziny otwarcia z pięciu do ośmiu dziennie.

„Przynajmniej połowa klientów wystawy przystąpi do nas” — podsumowują młodzi naturyści.

Tak duża frekwencja świadczy, że haczyk rzeczywiście chwytą i że w zarzuconych sieciach coś chyba naturystom zostanie.



Janusz Pawłowski

prywatnych (m.in. naszego słynnego antropologa, Bronisława Malinowskiego), którzy wykazali że „stosunek do nagości nie jest kategorią obiektywną i niezmienną, lecz wyrastającą z określonego kręgu kulturowego, osadzonego w konkretnym miejscu i czasie, oraz ulegającą ciągłym przemianom i przewartościom”.

Nietrudno uwierzyć w te słowa, patrząc choćby na historię rozwoju mody strojów kąpielowych od początku naszego stulecia — ile szumu i sensacji, wzbudziły tu i ówdzie na świecie stroje bikini lat pięćdziesiątych, które obecnie w dalece zmodyfikowanej, symbolicznej „gabarytowo” postaci, nie stanowią problemu na żadnej plaży!

Te właśnie myśli, że ze wszystkim można się oswoić, stosują w praktyce naturyści, zarzucając chytrze sieć poprzez eksplozyjne, często pod kątem wyjątkowo „tekstylnej” klienteli przedsięwzięte akcje, które są niczym innym jak odbijaniem piłki w drugą stronę w tym przez wieki rozgrywanym, jak dotąd nie rozstrzygniętym i bez względu na wynik interesującym, meczu.

I tak właśnie można potraktować zorganizowaną przez lubelskich naturystów wystawę „Foto-Natura”. Kontratak, jak na razie, nie nastąpił, a wystawa to kolejny punkt dla naturystów. „Takiej frekwencji, jak Arcus Arcusem, nie miała jeszcze żadna wystawa 150—180 osób dziennie, a w soboty i niedziele ponad 200, stanowił absolutny rekord. Był to strzał w ciem-

„Jak interpretowali wystawę widzujący? Opinia entuzjastyczna: „Jest na czym oko oprzeć” — powiedział zadziornie jakiś młody chłopak. Antynaturystyczna: „Ach wy głupcy gołodupcy” — wpis w księdze pamiątkowej wystawy zapewne przeciwnika nagości. Pronaturystyczna, napisana niewątpliwie przez naturyst(k)ę: „Nagie dziewczyny są ładne, ale ich nagość nie podnieca. Na tle morza, drzew, w otoczeniu innych nagich ludzi jest naturalna, by rzecz „aseksowna”. Gdyby te same nagie ciała utrwalił w tych samych, nieraz wymyślnych pozach, ale w innym otoczeniu, na przykład w czterech ścianach zapachniałoby pornografią natomiast w naturalnym otoczeniu tchną naturalnością i niczym więcej. O to chyba autorom chodziło i to im się udało”.

Na koniec opinia działacza naturystycznego, nie zwiazanego z młodzieżową sekcją przy „Alma-Art”: „Wystawa okazała się klęską — nie organizatorów, bo ci zarobilił lecz klęską samej nagości. Dopóki nagość wzbudza sensację, dopóki jest „nienormalnością”, dopóki przegrywa, a my z nią. Naturyści w Polsce są jeszcze daleko od celu”.

A więc mecz trwa dalej. Czy ktośkolwiek wygra?

PS. Modelka zgodziła się na reprodukcję swojego zdjęcia w prasie.

Bać się szatana?

Dokończenie ze str. 1

Ideę szatana wraz z jego personifikacją chrześcijaństwo zapożyczyło z hellenizmu, adaptując na swoje potrzeby boga pijaństwa i rozpusty — Dionizosa którego wyobrażano sobie jako półczłowieka pół kozła z rogami, ogonem, kopytami i na dodatek jeszcze kosmatego. Święto epifanii (objawienia, ukazania się) Dionizosa obchodzone jeszcze w II w. n.e. na Bliskim Wschodzie w dniu 6 stycznia, co dało podstawy Justynowi (zm. ok. 165 r.) do nazwania na „diabelskie naśladownictwo chrześcijan”, chociaż w rzeczywistości sprawa miała się wręcz odwrotnie. To chrześcijaństwo na początku IV wieku przyjęło 6 stycznia jako dzień swojej epifanii, pragnąc w ten sposób wyprzedzić inne kultury, m.in. święto narodzin Aiona.

Wielosł imion szatana (zły, diabeł, Lucyfer, Bezebub, Antychryst itp.) różnorodność koncepcji mówiących o jego powstaniu oraz różnorodność interpretacji zła, a także ewolucje doktryny grzechu w chrześcijaństwie rodzą z czasem potrzebę ujednoczenia poglądów na ten temat, co następuje dopiero ok. V wieku. Interpretacje te są w chrześcijaństwie o tyle interesujące, że — jak twierdzi bp B. Bejze — „na pytanie, skąd wziął się diabeł na świecie? Pismo św. nie daje nam odpowiedzi”.

Wszystko, co dziś na ten temat głosi się w Kościele, jest następstwem wspomnianych zapożyczeń oraz próbą usprawiedliwienia Boga za panoszące się zło w świecie. Stąd też propozycje te zawierają wiele scholastycznych schematów, dużo metafizyki, sporo dogmatyzmu, by jeszcze bardziej za-

ciemić ten w rzeczywistości pseudoproblem. Dla zilustrowania tych tendencji odwołajmy się do kilku przykładów.

Orygenes (zm. 253 r.) w swym podstawowym dziele „O zasadach” w rozdziale drugim księgi trzeciej kwestię dobra i zła próbował interpretować następująco: „wszystko, co dzieje się na tym świecie, a co uznajemy za sprawy obojętne — czy są to smutki czy coś innego — nie jest dokonywane przez Boga, ale też nie dzieje się bez jego udziału, bo Bóg nie tylko nie zabrania, aby zło i wrogię potęgi działały, ale nawet pozwala, aby działały — jednakże tylko w określonym czasie i w stosunku do określonych osób [...] Dlatego Pismo poucza nas abymy wiedzieli, że bez Boga nie się nie dzieje i wszystko, co się nam zdarza, przychodzi jako dopust boży”. Innymi słowy Orygenes powiada, iż nie Bóg jest sprawcą zła, on tylko na nie zezwala. Czynniki zła, a godzić się z nim to dwie różne sprawy. Podobnie zresztą jak godzić się ze złem, dopuszczać jego istnienie, a uchodzić zarazem za ideę absolutnej Miłości.

Znacznie dalej w swych rozważaniach poszedł św. Augustyn (354—430 r.), który w komentarzach do Księgi Rodzaju na pytania „dlaczego Bóg pozwolił kusić człowieka, a wiedział z góry, że ten ulegnie kusicielowi”, na początku wyznaje, że „głęboko Jego rady przeniknąć nie potrafili i że to przekracza moje możliwości”, po czym dodaje, że „na ile Bóg obdarza nas rozumem i pozwala się wypowiedzieć, nie wydaje mi się by miał być godnym wielkiej chwały człowiek, gdyby potrafił dobrze żyć dlatego, że nie było nikogo, kto by doradził żyć źle (...)”. Dlaczego zatem miałby nie pozwolić kusić tego, o którym wiedział, że uleg-

nie, skoro człowiek popełnił to z własnej woli przez winę, a przez karę dzięki sprawiedliwości Boga miał zostać poprawiony? W ten sposób dla pouczenia przyszłych świętych chciał pokazać zachwałę duszy, jak bardzo sprawiedliwie posługuje się wola nawet złych dusz”.

Można zatem z powyższego wnosić, iż diabeł swoje istnienie zawdzięcza człowiekowi, gdyż — po pierwsze — powołany został po to, by przysparzyć mu większej chwały, jako że „większa to chwala nie ulec pokusie, niż nie móc być kuszonym”, po drugie dlatego, by człowieka przekonać, że Bóg jest tak dalece sprawiedliwy, iż nawet złem posługuje się w sposób godziwy. Bóg bowiem stworzył diabła po to, „ażby przynosić korzyść dobrem”, ażby diabła „złość, w której [diabeł] sam pragnął trwać, wbrew jego woli stała się pożyteczną dla służ Boga, który przewidując to, stworzył go”.

Nie sposób jest zaprzeczyć, iż według Augustyna demona zła stworzył Bóg dla chwały własnej i chwały człowieka. Dla pełnej jasności św. Augustyn dodaje, że „cokolwiek zatem ów wąż (w raju — Z.S.) by oznaczał, należy to przypisać tej Opatrzności, której podlega także i diabelska chęć szkodenia”. Czyżby więc oznaczało to, że moralnym sprawcą zła jest Bóg? Nie odpowiadając na to pytanie, oddajmy ponownie głos św. Augustynowi, który na stawiany chrześcijaństwu zarzut, iż Bóg mógł przecież wolać pierwszych rodziców „na dobre obrócić, wszak jest wszechmogący”, odpowiada: „Oczywiście, że mógłby. Dlaczego więc tego nie zrobił? Bo nie chciał. Dlaczego nie chciał, to od niego zależy. Nie trzeba za dużo wiedzieć, więcej niż należy”.

Ten „argument” biskupa z Hippony — jak określił św. Augustyn — zdaje się wiele wyjaśniać w tej „diabelskiej” materii, bo skoro człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga (choć tak naprawdę, to jest odwrotnie), to i Bogu — podobnie jak człowiekowi — może chyba przysługiwać prawo do pomyłki? Można by za-

Dokończenie ze str. 1

W aulach Państwowego Domu Rencisty urządzono kilka pokoi. Około czterdziestu starych ludzi puka do tych drzwi codziennie od 7.30, by zamknąć je za sobą o 13.15. Ostatnio boją się wychodzić o zmroku. W pokojach dużo kwiatów, klubowe foteliki i gazety na stolikach. Korytarzem, gdzie u stropu wiszą grube rury, idzie się do sali specjalnych spotkań. Z sufitu zwiesza się w niej pajak z marszczonego papieru. Jak w każdym życiu, ludzie tworzą tu pary, grupy i grunki. Niektórzy są lubiani bardziej, inni mniej. Kobiety przysiadają z chichotem na kolanach mężczyznom. „To małżeństwa” — zapewniają — pospiesznie. Mężczyźni nie krępują się z grubymi służkami. Razem przyjmują gości, jedzą na wycieczki, plotkują i politykują. Ostatnio trwa tu także spór o Napoleona. Kto teraz o tym myśli? Codzienny wymarsz w świat innych ludzi zmusza ich, by o sobie dbali. Każdy ma jakąś pasję, której efekty wypełniają ściany klubu lub pokrywają stoły i stoliki. Robią metalowe pudełka i malują ikony. Pan Edward skonstruował nawet własny pojazd. Chyba tworzą specjalną rodzinę. Najbardziej interesuje ich teraźniejszość. O własnej przeszłości mówią mało. Wciąż mam wrażenie, że stanowią jakby śmietankę starczego losu.

Pan Michał końcem buta rozgrzebuje krowią ziemię. Papirosy wypala na rąk, trzy, cztery pociągocia i gaszenie. Patem mówi.

- A niedziela? — pytam.
- W niedzielę są przeważnie w domu. Jeśli gdzie wychodzą, to zostaje wnuczek. Zamytam się wtedy w swoim pokoju.
- Czy tak powinno być?
- Nie wiem. Bywa jeszcze gorzej, ale bywa i inaczej.
- O swojej rano jest jeszcze ciemno.
- O swojej rano odwierają kościół.

Istnieją w Lublinie trzy domy dziennej opieki i trzy domy pomocy społecznej. Do tych drugich trafiają ludzie nie w pełni już sprawni. Na miejscu w każdym z nich oczekuje długa kolejka, jak po prawdziwe mieszkaniach. Oczekiwaniu towarzyszy nieraz niecierpliwość rodziny rzadziej samych zainteresowanych. W domach pomocy miejsca zwalniana się tylko w jeden sposób. Przyjęciem towarzyszy biurokratyczna przepychanka. Wielu ludzi zagaspilo się w pewnym momencie życia, myśląc o przyszłości, dla wielu brakuje gwałtownie miejsca u boku rodziny. Nazwa **społeczność**

wciąż się unowocześnia i wzorem wysoko rozwiniętych krajów zbiera coraz większą liczbę „niepotrzebnych” w specjalnych internatach. Ktoś wysunął nawet projekt, by tworzyć dla nich odrębne dzielnice; schodki w tych dzielnicach miałyby być niższe. Takie getta rozwiązałyby istotnie cały problem. Statystyki grubą kreską podkreślają zasoby produkcyjnych mocy państwa. Przyszłością jest zawsze młodość. Nie ma argumentu na odparcie tego twierdzenia. W dziennym domu opieki rozgoryczonych jest także wielu; mniej na życie, częściej na niskie emerytury, odstąpienie na boczny tor, coraz mniejsze poszanowanie pracy.

— Myśmy budowali ten kraj — mówią — i co z tego mamy? Tyle, że ledwie wystarcza na przeżycie. Kiedy

wreszcie państwo zabierze się za tych młodych bumelantów?

— Ale kij ma, jak zwykle, dwa końce. Najniższymi dochodami w dziennym domu rencisty legitymuje się młoda dziewczyna, pomoc kuchenna. „Chude” emerytury przewyższają jej zarobki kilkakrotnie. Czy to odprysk toczącej się przez kraj falą narzekania?

- Co na to sąsiedzi? — pytam.
- Oni nam nie obchodzą — mówi pan Michał. — Rodzina jest zawsze rodzina, choćby była najgorsza. Co obcym do tego?
- Nie może pan porozmawiać jeszcze z synem? Przecież nie zostawił pan odkręconego kurka.
- Raz zalałem mieszkanie. Zaraz po tym rozpoczęło się moje „dyżurowanie”.
- To się zdarza i młodym.
- Gdzieś w wychowaniu popełniliśmy błąd. Teraz już za późno.
- A tonął?
- Nie tyle od siedmiu lat.

— Kto pani pomaga w tej działalności? — pytam panią Halinę Kiszczak.

— Wielu ludzi. MPK wynajmuje nam nieodpłatnie lub za grosze autobusy, przychodzą społeczni inspektorzy PCK,

dzieci z domu dla głuchoniemych na Majdanku występują z programem tanecznym, odwiedzają nas studenci z Wydziału Pedagogiki KUL.

- A UMCS?
- Nie.
- A kto pani przeszkadza?
- Niech pan nie szuka sensacji. Nikt. Tylko te pomieszczenia w aulach.

Obok mnie podrygują ramiona staro- go człowieka. Nie znajduje na to sposobu. Muszę odejść.

Kośminiek, Lubartowska, Bronowice. Tam problemy społeczne gnieźdzą się najciężniej w starych, na wpół rozwalonych kamienicach, w drewnianych, zmurowanych chałkach, w zakamarkach

nerki na życie. Zbliżone do siebie głowy. Mimo lśniącego korytarza czuje i tutaj starchy zapach zaniedbania i szpitalny, lizolu. Przed jednym z pokoi wystawione krzeselko. Mężczyzna patrzy nieruchomo na zielonkawą ścianę. Nie odwraca głowy, gdy przechodzę. Tak wysiaduje się na uliczkach małych miast.

— Proszę siostry, czy nie ma tu u siostry moich wykrojów? — rozczochrana kobieta zagląda ciekawie do dyżurki.

Pan Adam ma w pokoju łazienkę i telewizor, a w szafie całkiem przywoływały warstwy. Heble, śrubokręty, mekski. „Nawet po elemku wiem, gdzie co jest” — mówi. Na ścianie gitara jak u Rzeckiego. Święte obrazy i obrazki. Pełno ich w każdym pokoju. Dwie, stare, potłokłe fotografie sprzed wojny. Pan Adam chciał kiedyś kupić kawalerkę, gdy to kosztowały 13 tysięcy. Zagapił się. Wtedy stał go było. Później wedrował po stacjach. W Domu Rencisty jest ze wszystkiego zadowolony. Chwali jedzenie i opiekę.

U pani Anny znacznie skromniej. Nie ma tu nawet radia. Pielęgniarka wrzuca szybkimi ruchami pastylki do kilku plastikowych kubeczków.

- Ja jeszcze wyjdę — mówi, po większu ubrana, kobieta.
- Gdzie to znów?
- Muszę.
- Wystarczy już tego wychodzenia.

Na półeczce dostrzegam wydrukowany, nie wypełniony jeszcze blankiet: „Uprzejmie proszę o udzielenie mi urlopu w dniach... celem odwiedzenia...”

Za naszymi plecami loskot gniewnie zatrząśniętych drzwi.

A potem spokój. Cisza i spokój. Sobotnie popołudnie wlecz się rozciągnęło w błady słońcu. Głos z telewizora buczy zza ściany; szelest regularnych, powolnych kroków na suficie. Wszystkie pozory ruchu będą już wkrótce przysać. Tylko w nocy może zdarzyć się bolesny krzyk. Czysto i schładnie jest w Domu Rencisty na Kalinowszczyźnie.

Tylko czego tu brak?

W pół roku po moim spotkaniu z panem Michałem dowiedziałem się, że pewnego wrześniowego dnia już od płatej rano oczekiwał on w hallu jednego z lubelskich domów opieki na załatwienie formalności. Syn tym razem poprosił z pomocą. To on, oczywiście, przyniósł starą, podniszczoną walizkę ojca, by ustawił ją na świetło wystawianej podłodze. Teraz państwo J. mogą opuścić mieszkanie w błogim poczuciu bezpieczeństwa. Ich dobytek zniszczyć może już tylko dopust losu.

W domu, w którym przebywa pan Michał, rodziny odwiedzają pensjonariuszy w niedziele, między 10-tą a 18-tą. Obcy mile widziani

Wiesław Horabik

tem powiedzieć, iż zło z całym ontologicznym chrześcijańskim zapleczem (Lucyfer, diabły, piekło, smola, ogień itp.) jest rezultatem Bożej słabości, której przez szacunek do swego stwórcy zgłębiać nie należy.

Metamorfoza

W tym też celu stworzono koncepcję, w myśl której diabeł był początkowo dobrym wspaniałym aniołem, który przez swoją pychę zbuntował się przeciwko Bogu, w zamian za co został przykładnie ukarany. Aby nie próbowano mniemać, iż było inaczej, rozstrzygnięto tę kwestię w Kościele w sposób najłatwiejszy z możliwych. Otóż Sobór bracki (od m. Braga w Hiszpanii) w 563 r. w kan. 7 postanowił: „Jeżeli kto twierdzi, że diabeł nie był od początku stworzony przez Boga aniołem dobrym, że natura jego nie była dziełem Boga, ale że on z ciemnością powstał, i że nie ma Stwórcy swego, ale że sam jest początkiem i istotą złą, jak Manicheusz i Priscyllian mówili, niech będzie wyklęty”. Idea ta powtórzona została w 1215 r. na Soborze laterańskim IV, gdzie sformułowano ją następująco: „diabeł i inne złe duchy od Boga stworzone zostały dobrymi, a same przez się stały się złymi”.

Innymi słowy Bóg stworzył dobrych aniołów, niektórzy z nich stali się złymi aniołami. Oni też są bezpośrednią przyczyną i sprawcą zła — nie zaś Bóg. Jest to klasyczny przykład alienacji, tyle tylko, że w wymiarze „boskim”. Jej zaś obecne implikacje wybierają taki oto kształt: „Jeśli Ojciec nasz, który «jest miłością» daje cierpienie, nawet Synowi swemu nie przepuścił, to — twierdzi bp B. Bejze — nie czyni tego bezcelowo, ale dla jakiegoś dobra wyższego rzędu aniżeli zdrowie i dobre samopoczucie. Nie są to sprawy oczywiście dla umysłu ludzkiego, niecierpliwego, dumnego”.

W tym kierunku zdają się podążać niemal wszyscy teologowie, choć są i tacy, dla których wszy-

stko jest jasne, oczywiście i wyjątkowo proste. Na przykład znany ze swej publicystyki dominikanin J. Salij na pytanie, dlaczego obecnie nie spotykamy się ze spektakularnymi przypadkami opętania przez szatana, jak to ma miejsce w Ewangeli, odpowiada, że: „Szatan, przeczuwając w Chrystusie głównego swego wroga i domyślając się tajemnicy Wcielenia, próbował wówczas dawać również spektakularne popisy swojego panowania nad ludźmi i na swój szatański sposób wcielił się w ludzi”. Idąc po tej linii, niektórzy publicyści współcześni wyjaśniają, że oto dlaczego nie słyszy się praktycznie dzisiaj o przypadkach analogicznych opętani: „Szatanowi obecnie udało się doprowadzić do tego, że wielu ludzi w niego nie wierzy, jest to dla niego optymalny model postępowania z ludźmi, gdyż wówczas najłatwiej mu wciągnąć nas do swojej służby; powstrzymuje się więc od takich działań, które byłyby przeciwne tej przyjętej obecnie przez niego linii postępowania” (J. Salij: Szukającym drogi, Poznań 1982 r., s. 91). Wywód ten, sprawiający wrażenie, iż żywcem został przepisany ze średniowiecznego katechizmu, autor kończy odpowiedzią na pytanie: dlaczego Bóg pozwala działać szatanowi? Otóż dlatego, że „Pan Bóg nie ma zwyczaju stosować przemocy wobec swoich stworzeń, nawet jeśli one tak radykalnie nastawiały się na zło, jak to uczynił szatan”.

Komu wierzyć?

Czy te interpretacje satysfakcjonują człowieka, zwłaszcza współczesnego, który z natury swej jest istotą wątpliwą? Powiedzmy szczerze: jednych tak dlatego iż nie odczuwają potrzeby zgłębiania tego problemu, innych zaś absolutnie nie. Jednym odpowiada współczesna wykładnia obecności szatana, jaką dał ks. dr Banak, który twierdzi, iż „szatan atomowy chciałby dziś, ustawiając wszystkie przeciw wszystkim, zebrać za jednym zamachem swoje żniwo”, inni natomiast nie są w stanie zaakceptować nawet wielce zintelektualizowanej interpretacji katolickiego myśliciela i filozofa J. Ma-

ritaina. W pracy „Religia i kultura”, wydanej w Polsce w 1937 r., a więc pół wieku temu niejako na przekór cytowanym tu niektórym poglądom, J. Maritain napisał: „herezje, schizmy, wojny i zniszczenia, wreszcie sam szatan znajdują się pod powszechną władzą Bożą i wbrew swej woli pracują dla tego waju, który Bóg snuje. Są jakby bodźcem historii i posuwają naprzód Boże dzieło. Władztwo bowiem szatana wyznacza dokładnie zasięg naszych uchybień”.

Także i dziś są teolodzy, którzy — podobnie jak J. Maritain — powiadają, że „działalność szatana jest całkowicie uzależniona od dopustu Bożego. Stanowi — twierdzi ks. K. Romaniuk — składnik przewidziany Bożym planem”.

Komu zatem wierzyć? Czy wypowiedziom wygłaszanym nad Tybrem, teologom, którzy mają trudności z uzgodnieniem swoich stanowisk, filozofom katolickim zdrowemu rozsądkowi, czy w końcu nauce, której absolutnie nie jest wiadomo o istnieniu i działalności szatana?

Paradoksalność tego problemu polega obecnie między innymi na tym, że — z jednej strony — w kręgach pozachrześcijańskich obserwuje się powstanie wzrost zainteresowań satanizmem, z drugiej zaś — coraz mniej katolików wierzy w istnienie tego wytworu ludzkiej wyobraźni (tylko 25 proc. katolików zachodnioeuropejskich wierzy w istnienie diabła i piekła).

Jedno w tej sprawie nie ulega wątpliwości: szatana nie wymyśliła nauka, gdyż po to, aby ukazać źródła i wyjaśnić przyczyny zła, niesprawiedliwości oraz przemocy w świecie, wystarczają najzupełniej metody i teorie nauk społecznych i humanistycznych. Dlatego ludzkości potrzebni są ludzie światli, wykształceni, znający mechanizmy i prawa rządzące rozwojem społecznym, a nie egzorcysty i pseudoteorie uzasadniające ich istnienie.

Zbigniew Stachowski

Muzyka młodzieżowa

Zgasła Lady

POMYSŁ na taki zespół narodził się jeszcze w 1981 roku, podczas realizacji drugiego dysku Izabeli Trojanowskiej „Układy”. Już wtedy dwaj panowie: Jan Borysewicz i Andrzej Mogielnicki, zaznajomieni podczas współpracy z Budką Suflerą, marzyli o stworzeniu kapeli, która rzuciłaby wszystkich na kolana. Cel był jasno wytyczony, a realizatorzy nie próżnowali. Obaj byli zdołni, doświadczeni, mieli żapał do pracy, niezbędny w tej branży upór i silne przebiecia. Zdołali też przekonać do pomysłu dyrektora Estrady Stołecznej, Stanisława Cejrowskiego, który bez wahania wyłożył pół miliona złotych na pierwsze nagrania studyjne. Z inicjatywą obu panów doszło wiosną 1982 roku do sformowania zespołu Lady Pank — absolutnego faworyta nastolatków, laureata wielu nagród, premii, wyróżnień i dwóch Złotych Płyt. Warto dodać że Lady jako pierwsza z polskich grup podpisała kontrakt z amerykańską firmą fonograficzną MCA, gwarantującą edycję pięciu longplayów, spędziła trzy tygodnie w Stanach Zjednoczonych i na fall zainteresowania wydała dobrze przyjęty album „Drop Everything”.

Zespół Borysewicza robił furorę na listach przebojów. „Tańcz głupia tańcz”, „Mniej niż zero”, „Kryzysowa narzeczona”, „Vademecum skauta”, „Zamki na piasku”, „Zabij to”, „Ohyda”, „To jest tylko rock and roll” i „Sztuka latania” otwierały listę hitów rodzimej sceny rockowej. O Lady Pank mówiono z podziwem nie tylko w kraju. Z zainteresowaniem przyjęto jej występ podczas ubiegłorocznych targów płytowych MIDEM w Cannes, a na tokijskim festiwalu piosenki przyznano nagrodę specjalną.

Znakomita passa trwała do 1 czerwca br. Tego dnia zespół wystąpił na Stadionie Olimpijskim we Wrocławiu, gdzie szef Jan Borysewicz pozwolił sobie na fatalny w skutkach błąd. Incydent rozpatrywało wrocławskie kolegium do spraw wykroczeń, otrzaskując karę trzech miesięcy pozbawienia wolności. Borysewicz co prawda za krótki nie trafił (w tym czasie przebywał w warszawskiej klinice, lecząc szok nerwowy), ale wywołał istną lawinę oburzenia. Na temat jego wyczynu przy 40-tysięcznej widowni, wypowiedziało się wiele osób, z których część domagała się od ministra kultury i sztuki rozwiązania zespołu. Do oficjalnego zakazu koncertowania nie doszło, ale i tak grupa zamilkła na dłużej. Muzycy odcieśli się od postępu swego lidera, co prawdopodobnie oznacza upadłość Lady w dawnym kształcie. Gwoli ścisłości, nie była to pierwsza „zadyma” podziwianej formacji. Wcześniej miała ona na koncie kilka efektownych „demolek” hotelowych, które próbowano tuszować różnymi sposobami.

Po czarnej awanturze wzięły w łeb interesujące plany Lady Pank, związane z ponowną podróżą do USA



Fot. PAGART

i promocją drugiego longplaya. Kto wie, czy dojdzie do niej kiedykolwiek? Pod znakiem zapytania są też dalsze losy zespołu, choć jak znam Borysewicza, nie będzie długo siedział z założonymi rękami i rozpamiętywał swoją porażkę.

Obyczajowe ekscesy nie mogą przesłonić muzycznych dokonań Lady Pank. Są one znaczące dla polskiego rocka i dalekie od przeciętności, choć nie wszystkie udane.

Zaczął się od wielkiej fascynacji nagraniami Police. Pod jej wrażeniem pozostawał Borysewicz krótko, lecz miał tej sympatii do Stinga i jego koleżków zaznaczył się wyraźnie w piosenkach Lady. Pierwsze utwory nowej kapeli, wzmożonej ex-Desantowcem Januszem Panasewiczem, miały reprezentować nurt muzyki dla każdego. Rychło okazało się, że Janek potrafi komponować kapitalne melodie zdominowane przez gitary. Utwory Borysewicza tętniły żywiołem, dynamiką, ekspresją. Nie było to monotonne powtarzanie tych samych dźwięków. Gesty, nerwowy rytm tworzył z mądrymi tekstami Mogielnickiego fascynującą mozaikę, „kupowaną” w każdym miejscu i o każdej porze.

Pierwszy długogrający krążek, zatytułowany po prostu „Lady Pank”, był sensacją wydawniczą. Przyniósł same największe przeboje. Zapewniły one zespołowi znakomitą passę w 1983 roku, udokumentowaną zwycięstwem w liczących się plebiscytach i ankietach. O Lady nę mówilo się inaczej, niż o rewelacji roku. Druga płyta, firmowana przez Savitor „Ohyda”, nie była już tak udana, jak proste, ale porwawcze tematy z pierwszego albumu. Krytycy wybrzydali na autoplgiaty Borysewicza i nieustanne trwanie w klimacie

Policeantów. Mimo to płyta przyniosła kilka, nieślicznie brzmiących, hitów i drugi złoty laur dla muzyków. O sukcesie zespołu mówilo się głośno po powrocie z Ameryki i wydaniu polskiej reedycji krążka „Drop Everything” (dzielo Klubu Płytkowego „Razem”). Wielkie przeboje lidera z angielskimi tekstami Toma Wachtela brzmiały, mimo pewnych niedoróbek realizacyjnych, wyjątkowo atrakcyjnie. Jakby tego było mało, zdecydowano się na nagranie muzyki do serialu telewizyjnej bajki „O dwóch takich, co ukradli księżyc”. Rezultatem tych zabiegów stała się kasetka „Polmarku” z następnie dużą płytą „Jacek i Placiek” z pysznymi nagraniem temami „Dwuosobowa banda”, „Latający kot”, „Wędrownka” i „Marchewkowe pole”.

Sluchając tych nagrań, trudno ukryć podziw dla zdolności kompozytorskich i aranżacyjnych Borysewicza. Tak wybornej muzyka nie miała jeszcze rodzima estrada. Potwierdził to szerszy udział w Tokio Music Festival gdzie uhonorowano lidera Lady nagrodą dla najlepszego kompozytora. Kariera rozkręcała się dośownie z dnia na dzień, a pokrzyżowała ją nikomu nie potrzebna awantura...

„Jesteś idolem, wielbi cię tłum” — śpiewał kiedyś zespół. Zapomniano niebacznie, że ten sam tłum potrafił nienawidzić i szybko zapominać o dawnym idole. Nie jestem wcale pewien, czy za dwa, trzy lata obecnym nagraniom Lady Pank towarzyszyć będzie jeszcze dawna euforia.

Istvan Grabowski

Poczta literacka

Grzegorz W. Lubartów. Pisze Pan od dzieciństwa, a nam przedstawił najbardziej reprezentatywne wiersze. Wydaje mi się, że rozwoju w nich nie widać. Najwcześniejsze podobne są do obecnych. Np.:

Poszedłbym z Tobą tą drogą / Co wprost do szczęścia rwie / Ale jeszcze nie pora aby polaczyć się / Wziąłbym Cię całą dla siebie / I razem byśmy szli / Ale ja jeszcze nie wiem jakie są życia dni [...]

Dalej pisze się Panu równie nierasobliwie, bez dbałości o logikę i artystyczny wyraz utworu. Wszystko to i w lepszym nastroju może Pan swojej miłej powiedzieć wieczorem, w czasie spotkania.

Janusz W.K. Stare Opole k. Siedlec. W „Ogrodniku” i „Lesie” znajduję pewne wartości. Pragnę przeczytać więcej utworów, abym mógł się lepiej zorientować w Pańskich możliwościach.

Jerzy L. Puławy. Sprawa wygląda podobnie, chociaż chodzi o prozę. Oповідawnie pt. „U bram Hadesu” ma prawidłową konstrukcję i akcję, nie jest jednak pogłębione psychologicznie. Jest to niejako

szkielet, który należałoby oblec ciałem. Po dopracowaniu może Pan się ewentualnie spodziewać debiutu w „Kamieniu”. Niech Pan przysła swoje inne teksty.

UWAGA: Dyżury kierownika Działu Literackiego przynosimy z piątków na wtorki, między godz. 14-tą a 16-tą. Zwracali się o tę zmianę liczn nasi Czytelnicy.

TJ

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopicewski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz: Mariusz Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasicki (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Lidia Wojcik (redaktor techniczny) — Ewa Dybek (kierownik) — Barbara Caban.

Redakcja się ewraca nieszczęśliwie do samowolnych i zastępuje sobie prawa skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu we wtorki w godz. 14-16.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne um PKWN w Lublinie, ul. Umiecka 1.

Wydawca: Robotelnice Spółdzielnie Wydawnicze RSW „Prasa-Kultura-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jaana 2, tel. 153-30.

Adres redakcji: 20-020 Lublin, ul. Skłodowska 6/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 113-83, dział publicystyki i literacki 173-85.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-020 Lublin, skrytka pocztowa 88, polecone i ekspresowa — pod adresem redakcji.

P o z i e m o: A. ubranie nogi • pisarz polski, autor „Scen myśliwskich z Dolnego Śląska”. B. człowiek płci męskiej. C. łączy silnik ze skrzynią biegów • współmieszkaniec. D. wielka burza. E. badanie składników • buraki z nacią. F. willa Szymanowskiego w Zakopanem • w części swego biegu jest granicą między NRD i RFN. G. w drzwiach na podłodze • kończyła • szereg po zwrocie o 90 stopni • strone wcięcie w stoku górskim. H. pieśń operowa • sieć do połowu plastug. I. pozwala kołu krecić się tylko w jedną stronę • poeta polski, autor zbiorku „Póki my żyjemy”. J. symbol zaopatrzenia po znajomości. K. odosobniona resztką dalekiej przeszłości • kobiety z sąsiedniego kraju. L. państwo europejskie. M. jedna czwarta • pisarz polski, piewca śląskiego ludu.

P i o n o w o: 1. posiadzenie lub kilka posiadzeń • uczucie niezadowolenia, niechęć itp. 2. reguła. 3. miasto kiedyś portowe we Włoszech • naramienniki. 4. CWKS. 5. ma je tygrys i zebra • dawna moneta srebrna. 6. atrofia. 7. bóg starogipski z głową barana • tu-recki dowódca • rosyjska zupa rybna. 8. najjaśniejsza gwiazda w gwiazdozbiórze Niedźwiadka. 9. rozgranicza szczyt • podatek pośredni nakładany na artykuły nabywane. 10. głos ostrzegawczy pojazdu • siekierka jako broń. 11. drewniane naczynie z uchem lub dwoma. 12. płynię przez Bilgoraj • umiera w „Peer Gynt”. 13. imię twórcy baletu „Gajane”. 14. odznaczenie. 15. mierzy się ja w kg metrach, ale nie w sztukach. • skacze po polu. 16. długouchy psy myśliwskie. 17. zimowy pojazd lub sprzęt sportowy • ostatni zwycięzca Konkursu Chopinowskiego. 18. na nim słońce i gwiazdy. 19. okruh ognia • ciasto, tło.

S Z Y F R

K2, J8, F9, H14 /D10, A19, K7, B11, L11, G22, C3, H, F4, /K16 /22, J10, G1, B13, H13, L8, E3, K19, G17, /A7, M5, J21, C18, M13, I20/.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 21 Z SZYFREM

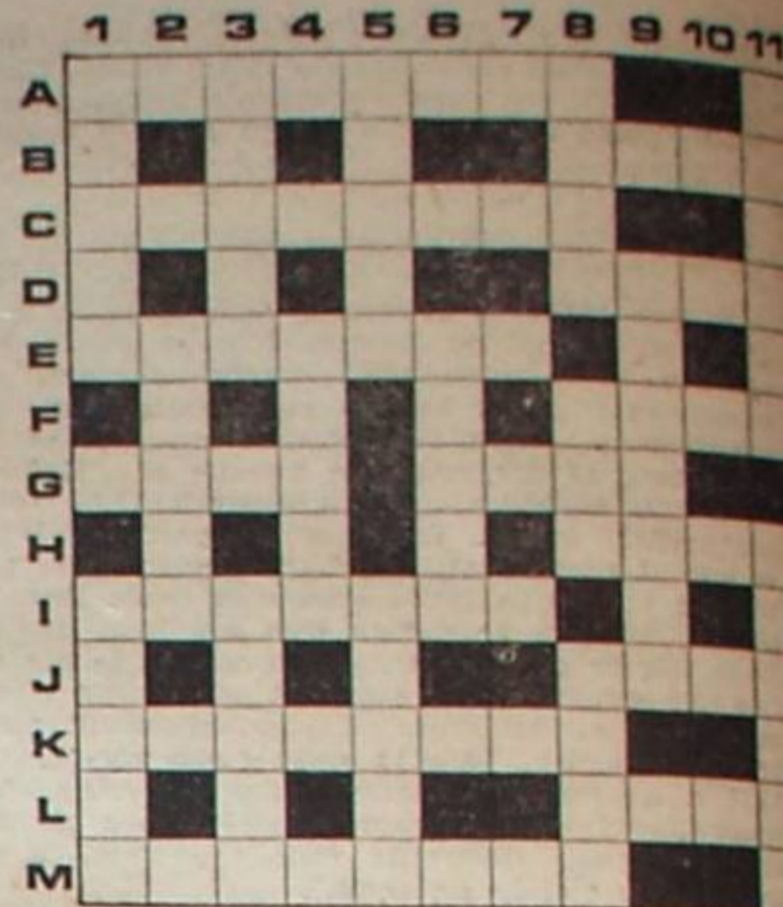
P o z i o m o: Dobrowolski, parodontoz, przesąd, krawiec, Kawalec, luzak, bułki, kraty, patos, imam, wanad, alfa, sanie, rękaw, staw, awans, atom, walka, dykta, Atena, Altaj, ketczup, Dreszer, Crecnot, prześmiewca, doniesienia.

P i o n o w o: dipol, wykup, uwaga, rzeka, kicze, kiesa, ozdoba, adept, umowy, sokół, Kedyw, kwiat Italia wadera, Płaska, narząd, rdest, racja, ekran, taran, daktyl, targie, Parma, trawa, łącze, Orawa, akces, jatka.

SZYFR

Oczy, które się nie widzą, zapominają o sobie.
**Iwan Wazow
POD JARZEM**

Nagrodę otrzymuje Helena Białecka, ul. Legnicka 1/27, 79-134 Szczecin.



**W miasteczku
Zośka czyli Klaudia**

STALE odęta i naburmuszona, obnosiła po zapyziałych, krętych uliczkach swoją cukierkowatą, słodką urodę. Od stóp do głów — jak mawiała w miasteczku — miała na sobie jeno „Pewex”, albo w najgorszym razie „Modę Polską”. Zadnej pospolitosci, ni jakiej, broń Boże, zwyczajności. Wiedziała, że w miasteczku wszyscy ją znają, że wciąż patrzy, że oglądają, jak się noszą na niej (przybrawszy materialną postać) te banknoty wciskane panu doktorowi w pojemną kieszeń fartucha w przychodni i pozostawiane na biurku w prywatnym gabinecie. Wiedziała, że jest stale oglądana. Chciała może sprostać tym patrzonom ludzkim, a może tylko chciała dorastać do własnych marzeń o byciu elitą miasteczka.

Kobiety patrzyły zwykle z mgielką zawiści w oku, mawiając niekiedy zazdrośnie: — No, młoda to ona nie jest już, ale jeszcze się trzyma, że ho, ho...

— A co, odpacykowana taka, to i wygląda, a czy ona się kiedy sfatygowała jaką pracą, lala...

Na ławeczce pod ścianą przychodni zdrowia trzy pańce wygrzewały schorzone kości w resztkach październikowego słońca. Przy wejściu zaparkował zielony polonez. Przystojny, młody jeszcze mężczyzna ościłał i leniwie stąpił po schodach. Panie kłaniały się panu doktorowi filuternie. Drzwi trzasnęły.

— No, on całkiem jeszcze fajny facet, przystojny przecież jaki.

— Oj, popatrz Wandziu, i wykształcony niby, i niegłupi chyba, i tak się dał przerobić, żeby się teraz wszyscy z niego podśmiewali.

Piekniarceczki w „zabiegowym” dostrzegły go przez uchylone drzwi.

— Ech, Górlicki już przyszedł — zachichotała jedna.

nie przerywając lakierowania paznokci.

— Tak, a zobacz, jaki ostatnio punktualny.

— No wiesz, teraz nie musi żonie śniadanka podawać do łóżeczka, to i ma czas, żeby zdążyć na dziewiątą.

— Popatrz, tak ją rozpieszczal głupek, a ona i tak go olala... I to jeszcze z kim się skumała, hi, hi...

— Och, kochana, nie myśl sobie, on też był „dobry”. Jak jeszcze pracowałam w szpitalu, miałam nieraz z nim dyżury, to wiem, jak to było. Przyjęli wtedy położną nową. Iwona, taka młodzianka, bardzo ładna dziewczyna, prosto po szkole. No to słuchaj, wszyscy przecież wiedzieli, że na nocnych dyżurach Górlicki ciał ją równo.

— Ech, coż ty... A mówią, że on taki podobno zakochany w tej swojej Klaudii.

— Klaudii... Ty wiesz, że ona normalnie ma na imię Zośka. No, mówię ci, Zofia Skopek nazywała się z domu.

W miasteczku wszyscy wiedzieli, że pan doktor przywiózł swoją żonę z wielkiego miasta, gdzie odbywał studia medyczne. Jego rodzice mieli niewielki sklepik w rynku. Sprzedawali wafelki „toffi”, lemoniade, pleprz ziołowy, landryny. Na zapleczu sklepiku mieli rozległe mieszkanie (połowe przedwojennej kamienicy) i nosili w sobie ciche tęsknoty, żeby jednak „wyszli na ludzi”.

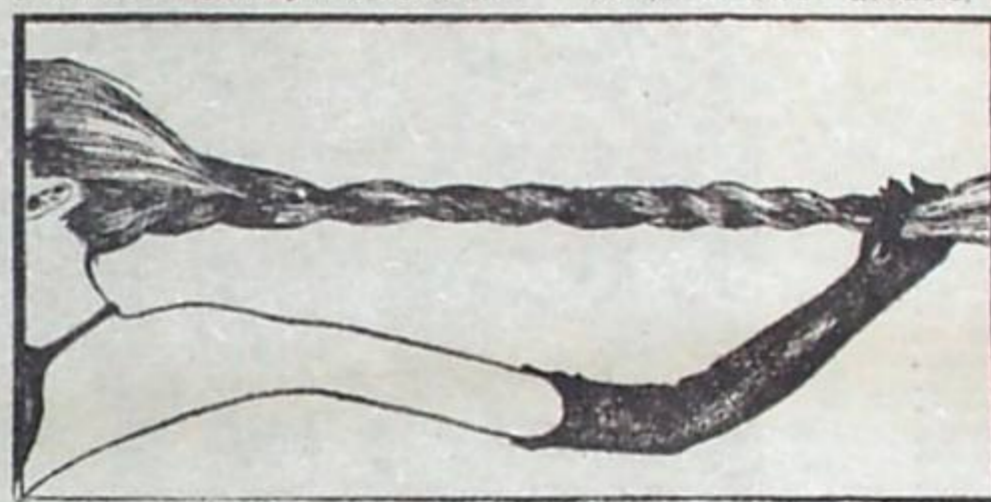
A jednak, przesiedziawszy lat osiem w dużym mieście, przywiózł stamtąd na koniec dyplom lekarski i młodzianką wówczas, świeżo upieczoną maturzystkę Zofię Skopek, która swym wdziękiem od razu podbiła miasteczko, natenczas pozbawione chyba okazów dużej żeńskiej urody.

Młody pan doktor szybko i energicznie rozpoczął swą posługę medyczną w rozmaitym wymiarze: przychodnia, szpital, dyżury w pogotowiu, prak-

Ewa Chodkowska

tyka prywatna. A śliczniutka Zofia Skopek wysiadywała przy oknie, rozmyślając wiele o swej przyszłej karierze pani doktorowej. Postanowiła zaś zacząć ową karierę od przemianowania się w Klaudię Górlicką.

Wysiadywanie przy oknie, połączone ze stałym sprawdza-



Rys. Joanna Szejn-Kus

niem stanu urodę, poczynano chyba powoli obrastać w nudę. Zapragnęła tedy pracować. Ma się rozumieć, miała to być praca taka, co by żadnej ujemy nie przynosiła, a tylko dawała radość i szczęście. „Może szkoła”... — zamarzyła pani doktorowa.

Były posady w szkołach tu i ówdzie w okolicznych wsiach, gdzie zatrudniano nawet i maturzystów. Ale o żadnej wsi mowy być nie mogło, oczywiście. Wszak małe miasteczko sa zasobne i pojemne dosłownie we wszystko. W podstawowie znalazł się wolny etat na nauczanie rysunków i pracy - techniki.

Do prywatnego gabinetu pana doktora podążały chykiem brzechate dziewczyny. Wzrastała zasobność doktorskiego domu. Rosły także i zakwitwały marzenia pani Klaudii. Po roku miała już dość umorusanych dzieci i ich koślawego bazgrania kredkami. Zapragnęła podróżować. Pan doktor kupował w „Orbisie” wycieczki do Grecji, Turcji, Jugosławii, wczasy w Złoty Piaskach i nad Bałatonem. A pa-

ni Klaudia przywoziła bluzeczki, łańcuszki i czekoladową radosną buzię, opowiadając, że bywała na Zachodzie.

W końcu pan doktor postanowił przywiązać chyba tonę co nieco do bytowania w domu. Pani więc powiła dziećmi i natychmiast, rzecz jasna, zapragnęła mieć pomoc domowa. Pan doktor zwiększył zatem ilość dyżurów w pogotowiu, podwoił liczbę zabiegów wykonywanych w domu, przestał w końcu bezinteresownie wydawać zwolnienia, i wynajął panią Helcię do prania pieluch, mycia okien, strugania kartofli tudzież innych prostych prac, których niechętnie mają się młode, wytworne damy.

Dziecię rosło a pani doktorowa, odciążona od wszelkich przykrych zajęć, kwitła wciąż w swej urodzie, obra-

— Doktor, rzecz jasna, chciał od razu zgłosić na miлицę — powiada pan Maniūs — ale doktorowa go od tego odwozila, że niby trzeba poczekać, że do co zaraz tak rozgłaszać sprawę. A potem obmyśliła sobie, że najlepiej to przecież wszystko na panią Helcię złożyć, bo to wiadomo, że te, co się wynajmują do pomocy domowej, to zaraz kradną. No może i tak — zamysliła się pan Maniūs — ale gdzie by tam zaraz takie grube forse, że prześcieradła, czy jakie tam bluzki, to i możliwe.

Pan Maniūs zaszedł kiedyś do pana doktora podreperować cieknący kranik i jak to miewał we zwyczaju, od razu wdał się w pogaduszkę:

— Panie doktorze, jak pan myślisz, ten Falski to kto on może być zasz? Tak się szybko z bogacil, że sobie prywatny zakład z tymi szczekami otworzył a dopiero co tu niedawno do nas zjechał.

— A niech sobie otwiera, coż mi to — odparł obojętnie pan doktor.

Ale pan Maniūs nie ustępował:

— A bo ja sobie tak myślę, że taki młody cwany to i umie się przytulić do jakiej ciepłej, majątnej kobietki, żeby ją wycycał.

Doktor, choć był człowiekiem podobno w miarę inteligentnym, wciał jednak nie pojmował, że owe gadki pana Maniūsa mogą mieć się jakoś do jego zaginionych domowych kosztowności. Któż zresztą brałby poważnie dziamolenie pana Maniūsa, który z rzadka tylko dochodził do stanu pełnej trzeźwości.

Wszystko zrozumiał doktor dopiero znacznie później. Którejś nocy, podczas szpitalnego dyżuru, przyszedł mu do głowy dziwny pomysł, żeby na chwilę wpaść do domu. Technick dentysta, w samych jeno skarpetkach siedząc w fotelu, spokojnie popijał tam herbatkę.

Sprawa źle się skończyła. Doktor odesłał żonę do matki, podobno na stałe. Wiedzą o tym najlepiej urodziwe panienki z przychodni zdrowia, które wciąż teraz ćwierkają przymilnie do pana doktora. Może któraś Krysia czy Hania marzy, by zostać Klaudią?

ZDERZENIA

Voltaren w mięsny i bez kartek

Okazuje się, że stanie w kolejkach ma swoje i dobre strony. Można wygadać się do woli i ponarzekać. Można nie mówić i tak swobodnie się dowiedzieć. Czasem trafić na nie byle jaką okazję. O, właśnie okazję!

Kolejka po mięso w jednym z LSM-owskich sklepów postawała się powoli. W misce na ladzie ubywało już mielonego, a i schab na boku „topniał” gwałtownie. Wydawało się, że nie ma już za czym stać. Wtem do sklepu weszła pani w granatowej pelerynie i ni to w stronę ekspedientek, ni to w stronę kolejki rzuciła: „Kto potrzebuje Voltarenu, bo mam?”. Ale gratka! Voltaren — lek, od miesięcy poszukiwany w aptekach, tutaj, w mięsny, okazał się i bez kartek, i bez recepty do nabycia.

Z lubelskiego obyczaju handlowego

Na Zachodzie zwykło się pytać klienta tak: „Would I help you?” („Czy mogę tobie pomóc?”). W nieodległej

Czechosłowacji: zaś: „Cim mōhu sloužit?”. U nas zaś, za lepszych handlowych czasów, pytano niegdyś tak: „Szukawny pan sobie życzy?”. Na bazarach zaś z wyszukaną szarmancją: „Paniusia, uważa?”.

W lubelskich sklepach zaczyna wchodzić w użycie nowy zwrot — „Czego?”. Związy i bezprzestajony.

Do ślubu na strażackiej drabinie

Widać, że oryginalne pomysły w wyborze środka lokomocji wiodącego na ślubny kobierzec stają się specjalnością naszego regionu. Do spowszedniałych należą dorożki i wozy drabiniaste, także i helikopter nikogo już nie zdziwi. Allci w sobotę, 25 ub.m. Krakowskim Przedmieściem w Lublinie przeleciał orszak weselny, jakiego jeszcze nie było! Z wyciem syreny, odpucowany, toczył się powoli bojowy wóz strażacki, a na drabinie, wyciągniętej „do połowy masztu” — zapewne z uwagi na trolejbusową trasę — stała szczęśliwa „młoda para. On — w wyjściowym mundurze, ona — na różowo. Szoaler zapewne tworzył również bojowe sikawki? Kto był pod USC, ten widział.

Z pojazdów jeszcze nie wykorzystane były do matrymonialnego celu: koparki, kombajny wysokiego zgłotu trawy, Vistula, plugi śnieżne i polewaczki. A od biedy — dźwig szynowy...

Sami sobie

Jesień obrodziła głogiem i dziką różą. Przy osiedlowych i przydrożnych krzewach amatorzy tego owocu przetrzebiali kolczaste chaszczę. Wino i nalewki sa z tych owoców znakomite. Ktoś zapytał jednak, dlaczego zbiera się te plony w miejscach najbardziej skażonych. Przy parkingach i szosach?

— A co, to dla nas? To dla „Herbapolu”? Podobnie było ze zbieraniem kwiatu lipy i jarzębina. Nie ma to, jak swój swemu!

Uczniowskie

Dwa razy dwa — wyjaśnia Jacek z III b — wcale nie jest cztery! Nie jest! A, jak dostanę dwie dwójki, to na koniec semestru nie będzie czwórki. Ano, nie będzie!